

ZAMACH STANU w WARSZAWIE.

FAKTY i WRAŻENIA
Spisat Uczestnik

LWÓW 1926.

ZAMACH STANU w WARSZAWIE.

FAKTY i WRAŻENIA
SPISAŁ UCZESTNIK.

Kolekcja
Emila Kornasia

LWÓW 1926.



CM KKK

317770

CZCIONKAMI Drukarni „Sztuka“ LWÓW,
PL. STRZELECKI 2.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr/2012/..... ¹¹⁷ _{am}

WSTĘP.

Mimo niezwykłego zainteresowania, które obudziło się wśród najszerszych warstw społeczeństwa polskiego po tragicznych wydarzeniach warszawskich, nie pojawiła się dotąd żadna publikacja, przedstawiająca w sposób treściwy, jasny a wyczerpujący podłoże zamachu i jego przebieg. Jesteśmy więc pierwsi*); co więcej autor niniejszej opowieści znał dokładnie zakulisowy bieg spraw i wszystkie przygotowania, w czasie samej walki bawił w najważniejszych jej ośrodkach, miał sposobność przebywać zarówno w Belwederze jak i w Komendzie Miasta. Gdy nie wystarczyły zaś przejścia i wrażenia własne, starał się zasięgnąć wiadomości z obu stron nie szczęsnego frontu polskiego.

*) Dotychczas wydane broszury mają charakter dorywczy feljetonowy lub chaotyczny. Dla uzyskania pełności obrazu krzystalizujemy z dwóch, t. j. „Dokumenty chwili — 12 do 16 maja 1926 r. w Warszawie“, wyd. Polskiej Agencji Wydawniczej, oraz „Warszawa w ogniu 12—16. V. 1926 r. Biblj. Roj. t. 35—36. Ponadto pewną pomocą był szereg feljetonów, drukowanych w poczytnym piśmie lwowskim „Wiek Nowy“ p. t. „Dzieje historycznego dla Polski tygodnia“.

Wydarzenia warszawskie przedstawiono tu z najdalej posuniętą obiektywnością; broszura ta nie ma żadnego podkładu partyjnego, nikogo nie gloryfikuje, nie potępia ani nie usprawiedliwia. Sąd należy do przyszłości.

Warszawa, w czerwcu 1926 r.

WYDAWNICTWO.

I. Przygotowania i zapowiedzi.

Tło polityczne i nastroje mas.

Zamach stanu zaskoczył w Polsce nie tylko szeroki ogół społeczeństwa, ale i wybitnych, dobrze orjentujących się — zdawałoby się — polityków. Okazało się, że t. zw. wytrawna, a do sądenia nad sprawami publicznemi, powołana opinja kół politycznych, nie zdawała sobie zupełnie sprawy z nastrojów, nurtujących pewne odłamy społeczeństwa, nie rozważała drobnych lecz znamienych faktów i nie doceniała pewnych enuncjacji.

Już w czasie trwania nieszczęsnej pamięci rządu koalicyjnego, który jak żaden inny chyba był powołany do uśmierzenia niepokoju i wznowienia zaufania państwowego wśród wszystkich warstw — uderzał dziwny, w rażącej sprzeczności z zadaniami „koalicyjnymi“ stojący, wzrost demagogji, szczucia wzajemnego i poszukiwanie usilnie winowajców wszelkiego zła to w jednym to w drugim obozie, gdy tymczasem przedstawiciele tychże obo-

zów zgodnie jeszcze a po próżnicy dyskutowali przy wspólnym stole ministerjalnym. Premier ówczesny p. Skrzyński marzący o „wewnętrznem Locarnie“ (!!)

starał się jako gładki dyplomata... nie przeszkadzać; chętnie więc wyjeżdżał, do spraw państwowych zbytnio się nie mieszał, był przytem marjonetką w rękach swego otoczenia.

W chwili tej dziwnej a niepokojącej gnuśności rządowej — padło pierwsze ostrzeżenie, zbagatelizowane samozwańcze strzały sierżanta WP. Trzmielewskiego, które zanim sąd wypowiedział swój wyrok — wymierzyły „karę“ na b. ministrze Lindem... Morderca bronił się spokojnie, że chciał dokonać samosądu na „złodzieju grosza publicznego i szkodniku“, że „sumienie patrioty“ czyn ten mu nakazało... Wrażenie tej śmierci tragicznej było silne lecz przemijające; w prasie ukazał się szereg artykułów w miarę dostojnych, w miarę oburzonych; ogólny ton potępiał sprawcę bez zastrzeżeń, jeden tylko popularny dziennik warszawski usiłował Trzmielewskiego bronić. Sprawa ta jednak ucichła szybko i poszła w niepamięć, jak tylko spadły pierwsze grudy ziemi na trumnę ś. p. Huberta Lindego.

Ale tymczasem haśło, że tak należy skończyć z wszystkimi złodziejami i szkodnikami poszło w szerokie masy i zyskało tam posłuch chętny. W dziel-

nicach robotniczych słyszało się zawzięte dyskusje i odgrażania, że tak jak Linde, skończy wielu innych dostojników; ludzie wołali to w części z głębi uczciwego przekonania, w części za podszeptem uwijających się skrzętnie agitatorów komunistycznych.

Przyszedł wreszcie koniec „rządu koalicyjnego“ i wystąpienie P. P. S., dokonane z wielkim demagogicznym hałasem. Już wtedy pisało się często gęsto, że ludzie uczciwi odeszli, a pozostały same sprzedajne figury, które działać będą na szkodę państwa i jego obywateli. W czasie niedługiego żywota rządu t. zw. „kadłubowego“ znów jeden fakt znamieny: usiłowane wystąpienie grupki nieznanych oficerów przeciwko ówczesnemu ministrowi Zdziechowskiemu; sprawa tajemnicza, która rozplynęła się wśród sprzecznych głosów pracy i interpelacji, zagrzebanych w jakiejś sejmowej komisji.

Przesilenie.

Wreszcie i rząd kadłubowy ustąpił z pięknym gestem; „odszedł ale nie upadł“ jak powiedział w ostatnim swem oświadczeniu premier Skrzyński. Przesilenie potoczyło się zwykłym trybem. Po stałej litanji nazwisk (Rataj, Chaciński, Raczkiewicz i in.) i kilku nieudanych próbach sklecenia jakiej takiej większości — ujął batutę w swe ręce Wincenty

Witos, gracz parlamentarny wielkiej miary, który zapowiadał chytrze, że rządzić mu nie nowina, że nie ma zbytnej chęci do ponownego sprowadzania się na Krakowskie Przedmieście i t. d. i t. d. Było to 7-go maja. Oczywiście zrazu wysunięto hasło nowego rządu „koalicyjnego“, gdy jednak P. P. S. odmówiła stanowczo udziału w gabinecie, uzależniając swą zgodę od spełnienia szeregu ciężkich postulatów (w pierwszym rządzie przyjęcia programu sanacji skarbowej opracowanego przez P. P. S.) — p. Witos poniechał myśli zrzeszenia wszystkich stronnictw a ograniczył się tylko do stronnictw centrowych i prawicowych. Pragnął jednak pozyskać do gabinetu p. Skrzyńskiego, jak się mówiło na zewnątrz „dla zachowania ciągłości w polityce zagranicznej“ a w istocie, ażeby dzięki popularności b. premiera na lewicy mieć otwartą furtkę do porozumienia się w przyszłości i z tą stroną Izby, do kokietowania lub wymuszania poparcia u stronnictw opozycyjnych. P. Skrzyński odmówił jednak kategorycznie i z ostentacją, motywując swój krok tem, że bez poparcia P. P. S. trudno mu będzie utrzymać tę właśnie ciągłość w polityce zagranicznej...

P. Witos złożył misję tworzenia gabinetu, rzecz jasna nie w poczuciu swej słabości, lecz w przeświadczeniu, że władza i tak doń powróci a pewien

okres zamętu i bezradności w parlamencie tylko ją umocni.

Z logicznego biegu rzeczy obowiązek utworzenia rządu spadł na stronnictwa lewicowe, które pierwszą próbę obaliły. W dniu 8-go maja krzątał się więc około złożenia jakiejś większości prezes P. P. S. — p. Marek. Usiłowania te z góry były skazane na niepowodzenie, gdyż dla odmiany, teraz stronnictwa centrowe odmówiły wszelkiego udziału. P. Marek mimo to biedził się i radził cały dzień wśród rosnącego zdenerwowania Sejmu i opinii publicznej, wieczorem wreszcie złożył swoją misję.

Był to dzień imienin Prezydenta Wojciechowskiego, obchodzony w poprzednich latach hucznie i uroczyście. Teraz było cicho i ponuro. W popołudniowych tylko godzinach zebrało się w Belwederze na „herbatce“ grono wybitniejszych osobistości i przyjaciół Prezydenta. Rozmowy były jałowe i pełne zdenerwowania, W gronie najbliższego otoczenia p. Prezydent ze łzami w oczach mówił: „Tak chciałbym dobrze zrobić dla Polski — ale wciąż mi przeszkadzają“... Nie przeczuwał, że będą to ostatnie jego imieniny w Belwederze, że w tydzień potem jako zwyczajny obywatel otrzyma przepustkę do Spały na nazwisko Stanisława Wojciechowskiego...

Wobec niepowodzenia wszelkich prób i poczy-
nań parlamentarnych — powstawało stałe we wszyst-
kich polskich przesileniach widmo rządu pozaparla-
mentarnego. Zrazu mówiono o p. Raczkiewiczu. b.
ministrze Spraw Wewnętrznych; w ciągu nocy naz-
wisko to upadło — rozeszła się wiadomość, że ga-
binet tworzyć będzie p. Władysław Grabski. Miał
to być jak za pierwszych jego rządów rząd „fachowy“,
rząd „zaufania Prezydenta Rzeczypospolitej“.

W niedzielę (9-go) od samego rana p. Grabski
zabrał się do pracy; zapowiedział, że wieczoram
lista będzie gotowa. Cały dzień spłynął na konferen-
cjach z zaproszonymi do współudziału kandydatami,
powtarzano nazwiska poważnych i tęgich fachowców,
zdawało się też w pewnej chwili, że misja p. Grab-
skiego się powiedzie, że wśród ogólnego zamętu
i zacierzwionej walki parlamentarnej jedynie rząd
z poza Sejmu może ująć władzę. Było to w kulua-
rach sejmowych uczucie pewnej ulgi, wygodne, a tak
często niestety praktykowane zrzucenie odpowie-
dzialności...

Stało się jednak inaczej.

Ostatnia wizyta Marszałka Piłsudskiego w Belwederze

Wśród wlokącego się a pełnego niepowodzeń
przesilenia rządowego był jeden moment, który prze-

oczyła wszędobylska a krzykliwa prasa stołeczna. W niedzielę 9. maja 1926 wieczorem, gdy p. Władysław Grabski miał już gotową listę swego gabinetu, rozpoczęły się pertraktacje i pewne nieporozumienia około obsadzenia teki ministra spraw wojskowych. Zaproszeni przez pana Władysława Grabskiego do współdziałania, ministrowie odmówili współpracy z gen. Żeligowskim; cała sprawa utknęła, trudno było znaleźć wyjście, któreby zadowoliło wszystkie zainteresowane czynniki. W tej chwili dano znać, że marszałek Piłsudski wyjechał do Belwederu. Na dziedzińcu ustawiła się szybko kompania honorowa; wjeżdżającego marszałka, jak ceremonjał każe, witały fanfary i bicie w bębny. Były Naczelnik Państwa udał się szybkim nerwowym krokiem do jednego z salonów parterowych, gdzie oczekiwali go p. Prezydent Rzeczypospolitej oraz desygnowany premier. Na wstępie zastrzegł się p. Marszałek w słowach stanowczych i podrażnionych przeciwko nominacji ministra spraw wojskowych bez porozumienia się z nim. Wysunięte nazwiska z miejsca odrzucił. — Do porozumienia nie doszło. — Pan Marszałek, po krótkiej, dość ostrej rozmowie z panem Prezydentem opuścił Belweder przy zachowaniu zwyczajnego ceremonjału.

Misja pana Grabskiego nie powiodła się. Tej samej nocy było już wiadome, że rząd ma tworzyć

prezes „Piasta“ Wincenty Witos, pod którego batutą gromadziły się stronnictwa tak popularnie zwanej „grubej czwórki“. Wiadome też było, że teka ministra spraw wojskowych obsadzoną będzie bez kurtuazyjnej nawet porady Pierwszego Marszałka Polski, że będzie to — jednym słowem — rząd walki, rząd ostatecznego starcia się stronnictw prawicowych i rozbitej, a tem samem słabszej lewicy. W kuluarach zapanowało podniecenie. Posłowie i dziennikarze snuli się długo w nocy po Sejmie, stawiając nowej koncepcji niezbyt szczęśliwe horoskopy.

Dyplomacja pana Witos.

Rząd istotnie powstał szybko. Poszczególne teki były przecież z dawna omówione i obsadzone. Pan Witos, mimo podpisanej w południe 10. maja nominacji, odłożył objęcie władzy do dnia następnego. Coś się zatem kryło, co niepokoiło bardziej spostrzegawcze lub spraw świadome umysły. Pan Witos niewątpliwie rozpoczął jakąś grę polityczną, która miała umocnić stanowisko jego rządu i która pozwoliłaby mu dotrwać szczęśliwie do okresu wyborczego. Spodziewano się, że będzie to jakieś silniejsze ugruntowanie sił, które do reszty mogło zmiażdżyć skonsterowaną i liczebnie słabą lewicę. Mówiono o ściślejsz-

szem porozumieniu z mniejszościami narodowymi, o zawarciu trwałego paktu z Kołem Żydowskim.

Było jednak wręcz przeciwnie. Nowy premier chciał zagrać chytrze inną grę i podjął starania, ażeby porozumieć się i ewentualnie pogodzić z Marszałkiem Piłsudskim, wiedząc, że ten autorytet będzie decydującym dla wszelkich poczynań politycznych po lewej stronie Izby. P. Witos nie ukrywał zresztą a nawet wśród swoich współpracowników opowiadał z uśmiechem, że gdyby ta ostatnia oferta była odrzucona, wtenczas walka pójdzie na noże. W chwili jednak, gdy wiązano nitki tej misternej gry, jeden z dziennikarzy sejmowych wręczył premierowi odpis wywiadu Marszałka Piłsudskiego, udzielonego przedstawicielom kilku pism lewicowych p. t. „Pierwszy Marszałek Polski o wyniku przesilenia rządowego“. Enuncjacja była niezmiernie ostra, potępiła bez zastrzeżeń nową konfigurację polityczną i nie szczędziła członkom rządu, a przede wszystkim premierowi zjadliwych a bezapelacyjnych zarzutów.

P. Witos po dokładnem przeczytaniu wywiadu — jak opowiadano — zmarszczył brwi i dłuższy czas chodził w milczeniu; potem nakazał tylko lakonicznie, ażeby w jednym piśmie (krakowskim), zbliżonem do Piasta — nie umieszczono tej ostatniej

enuncjacji Marszałka, choć poprzednie podawano tam skrupulatnie.

Wszystkie plany porozumienia upadły. Marszałek sam rzucił kości do innej zupełnie gry, rzucił je stanowczo i bez wszelkiej możności cofnięcia się. W kularach sejmowych tak niezmiernie czułych na wszelką zmianę atmosfery politycznej zapanowało podniecenie. Była to sensacja nie równie większa niż samo utworzenie rządu centrowo-prawicowego.

Chytra konfiskata.

P. Witos zareagował też szybko i nieoczekiwanie. Trzy pisma warszawskie: „Kurjer Poranny“ oraz dwa żydowskie „Hajnt“ i „Moment“ za umieszczenie wywiadu u Marszałka Piłsudskiego zostały skonfiskowane przez Komisarjat Rządu, który pociągnął do odpowiedzialności oczywiście nie autora enuncjacji, lecz redaktorów pism za obelżywe wyrażenia o członkach rządu. Stało się to jednak w godzinach porannych a dopiero około południa cały rząd z premjerm Witosem na czele złożył uroczyste ślubowanie w Belwederze i objął urzędowanie. W ten sposób odpowiedzialność za dokonaną konfiskatę, choć stało się to na rozkaz nowego premjera — spadła na dawny rząd a w pierwszej mierze na b. ministra

Raczkiewicza, znanego zresztą z sympatji i przywiązania do osoby Marszałka Piłsudskiego.

Była w tym postępku chytrość i złośliwość nie lada, tak właściwa chłopskiej umysłowości p. Witosza. Nie uratowało to jednak sytuacji. W kołach lewicowych zapanowało oburzenie. Przygotowywano szybko interpelacje sejmowe, nie spodziewając się zresztą, jak brzemienne i jak bolesne będą następstwa tego fałszywego kroku. Zdarzył się przytem incydent dość wesoły. Oto Marszałek Piłsudski zaatakował ostro w swym wywiadzie P. P. S. Mimo to, po dość burzliwych i gorączkowych naradach, postanowiono wnieść interpelację; znany zaś z kapitałnego dowcipu p. Diamand powiedział wówczas: „Jesteśmy najbardziej chrześcijańską partją w Sejmie, wczoraj dostaliśmy jeden policzek, dziś według słów ewangelji nastawiamy drugi“...

Rewolucja kawiarniana.

Podczas gdy w Sejmie mozolono się nad tekstem interpelacji, na mieście wśród szerokich rzesz młodzieży, oficerów oraz sympatyków Marszałka zgoła inne przygotowywały się demonstracje. W godzinach popołudniowych zwróciło już uwagę uporczywe gromadzenie się umundurowanych oddziałów Strzelca oraz wielka ilość oficerów w paradnych mundurach

i ze wszystkimi odznaczeniami, którzy gęsto zajmowali stoliki u Lourse'a, w „Ziemiańskiej” i w innych większych cukierniach. Jednocześnie po ulicach uwiijały się samochody, rozrzucając ulotki z napisami znamiennymi: „Nie damy rozkradać Polski! precz z rządem Witosa, niech żyje Naczelnny Wódz Józef Piłsudski!”. Jeden z oficerów zwrócił słusznie uwagę, że dotychczas używano w publikacjach tego typu tytulatury „marszałek” lub częściej „komendant”. Skądże teraz „naczelnny wódz”? W dwa dni później te same słowa czytaliśmy na odezwach, rozlepionych na murach miasta...

Pod wieczór zaczęły się demonstracje. Do kawiarni i cukierni, natłoczonych publicznością wchodziły grupki strzelców, śpiewały pieśń pierwszej brygady i wznosiły okrzyki na cześć Marszałka. Oficerowie stawali w postawie na baczność, wzywając jednocześnie publiczność do powstania i odkrycia głów. Zdarzyło się przytem parę przykrych incydentów. U Lourse'a jakiś major odmówił powstania i najspokojniej zapalił papierosa. Kilku panom, którzy na tej giełdzie wieczorowej załatwiali najspokojniej swe interesy handlowe, strącono kapelusze. W dużej kawiarni Ziemiańskiej jakiś nieznany jegomość zaczął ostro protestować; otrzymał kilka policzków i parę

uderzeń laską. Podobne sceny rozgrywały się również w innych lokalach.

Wrażenie na ogół było przykre; liczna obecność oficerów z pośród pułków, o których wiadomo było, że są szczególnie oddani marszałkowi, niepokoiła, ale jednocześnie krzykliwym sposobem manifestowania swych uczuć w lokalach publicznych wywołała wrażenie obniżania powagi munduru. Komenda miasta interwenjowała kilkakrotnie, ale bez skutku; oficerowie demonstrujący zachowywali postawę pewną siebie, wprost drwiącą. Wydarzenia te dawały dużo do myślenia; zdawało się jednak, że na tem się skończy. Władze wojskowe nie domyślały się, że była to tylko pokrywka, sprytny wybieg, który miał zatuszować istotne plany dalszych demonstracji.

Pierwsze podmuchy.

Tymczasem w ministerstwie, w oddziałach wojskowych, a przede wszystkim w komendzie miasta budził się zwolna ruch i podniecenie. Szereg oficerów wezwano do raportu karnego; mówiono o rozkazie, przenoszącym natychmiast gen. Dreszera do Poznania gdyż asystował on z uśmiechem na ustach w czasie demonstracji u Loursa. Władze były jednak bezsilne wobec wielkiej ilości demonstrantów i niewyjaśnionego dostatecznie stanowiska ludności cywilnej.

Na Krakowskim Przedmieściu spotykam jednego z wyższych oficerów sztabowych w cywilnem ubraniu.

— Co to wszystko znaczy ?

— Jeszcze nie wiemy, spodziewamy się jakiejś manifestacji wojskowej.

— Ale jakiej ?

— Nie wiadomo. W każdym razie jest pewien ruch niepokojący w oddziałach wojskowych; zwraca uwagę przedewszystkiem porozumiewanie się oficerów i podoficerów. Przeżyłem rewolucję rosyjską, wiem więc, że to nic dobrego nie zapowiada.

Dla ludzi, dobrze orjentujących się w stosunkach warszawskich, znamieny był też wzmożony ruch na ulicy Kanonja 8, gdzie mieści się główny sztab POW, oraz przy ulicy Koszykowej i Kruczej w mieszkaniach znanych działaczy lewicowych. W niektórych redakcjach otrzymano też szereg wskazówek i informacji; przy stole dziennikarskim w Sejmie ożywione dyskusje i prognozyki. Nikt się jednak nie domyśla istotnej prawdy.

Przytem jeszcze jeden szczegół charakterystyczny. Do restauracji „Cristal“, która dzięki swemu położeniu na rozdrożu sejmowo-prasowem była w dniach przesilenia niezwykle uczęszczana — wszedł w późnych godzinach wieczorowych pełny sztab Związku Strzeleckiego w mundurach i polowem wyekwipowaniu.

Do stołu tego przysiadali się rozmaici działacze i publicyści lewicowi. Zwróciła przytem uwagę długa konferencja tych panów z jednym z leaderów NPR-u, p. Waszkiewiczem. W dwa dni później w stronnictwie tem, które wchodziło — jak wiadomo — w skład większości rządowej, dokonał się rozłam, a na czele grupy secesjonistów stanął właśnie poseł Waszkiewicz.

Wszystkie te drobne przejawy nie budziły jednak większego wrażenia w kołach rządowych. „Przetrzymamy tom rewolucjom“ — miał podobno powiedzieć premier Witos.

Przedstawiciel wsi i miasto.

P. Witos nie doceniał jednak najważniejszego momentu nastrojonego, który zdecydować miał o postawie szerokich mas stolicy t. j. fatalnej niepopularności swej osoby i nazwiska na ulicach Warszawy.

Wielkie zbiorowisko miejskie, średnio lub nawet pół-wykształcone nie kocha nigdy trybunów, którzy przychodzą z surowej, „niepiśmiennej“ wsi. Jest w tem zasadniczy przedział ideologii, interesów społecznych i handlowych, a wreszcie poczucie wyższości intelektualnej miasta. Nazwisko zaś Wincentego Witosza szczególnie było znienawidzone i ośmieszzone wśród tłumu warszawskiego; w czasie walki wyborczej odrzucała je błotem zarówno lewica i prawica,

zrzucając na wójta z Wierzchosławic setki przestępstw i zbrodni, których ani w części nie popełnił, kpiąc z jego manier chłopskich, dziwnego kostjumu i wszelkich ludzkich przywar. P. Witos stał się zbyt jednostronnie — więc w oczach Warszawy sprytnym a bezwzględny chłopem, który wdarł się przemocą na czołowe stanowisko w Polsce, zachował pogardę dla wszystkiego, co miejskie a dbał wyłącznie o interesy wsi. Warszawa zaś nad miarę zarozumiała i pełna tupetu zносиła to wszystko niechętnie.

Nie domyślał się więc trzykrotny szef rządu polskiego, że nazwisko jego rzucone wśród szerokich rzesz, podnieconych już „rewolucyjnie“, stanie się ponętnym sztandarem opozycji, krytyki i wszelkich wymyślań. Już 11-go wieczorem więc, nie przeczuwając dalszych wydarzeń — ludźk warszawski krzyczał z ochotą: „Precz z Witosem!“ — a w późniejszych dniach, gdy rozmaicie jeszcze układały się nastroje, gdy wołano nawet sporadycznie „Niech żyje Prezydent“ nikt się nie ośmielił wznieść okrzyku na cześć lub choćby w obronie Witosy; nazwisko to zbyt było niepopularne i nienawistne.

To była pięta achillesowa wszelkich zamiarów i planów „rządowych“. Dla przeciwstawienia popularności Marsz. Piłsudskiego, miano tylko niezbyt sympatycznie witaną a stale ośmieszaną (ze szkodą

dla Państwa) postać Prezydenta Wojciechowskiego i p. Witosa... Jakże ułożyć się miały sympatje ulicy, czynnik w każdej rewolucji decydujący ?...

Z tych momentów psychicznych rząd nie zdawał sobie sprawy tak samo, jak bagatelizował wszystkie niepokojące objawy i rozruchy. Mówiło się więc o srogich represjach w armji, o tem, że wszyscy oficerowie demonstrujący w kawiarniach będą w drodze karnej przeniesieni i td. i td.

Tymczasem zaś zbierała się już burza.

„Strzelanina w Sulejówku“.

W środę (12 maja) rano dopiero gruchnęła po stolicy wiadomość o tajemniczych zajściach koło willi marszałka Piłsudskiego w Sulejówku. W alarmującej formie podał ją „Kurjer Poranny“, za co znów uległ konfiskacie. Sprawę tę omawiano i komentowano szeroko, ale mimo to pozostał w niej szereg momentów niejasnych, które trudno będzie wytłumaczyć przyszłemu historykowi tych chwil tragicznych.

Według informacji z kół lewicowych zaczęła się więc około 11-tej wieczorem strzelanina, która trwała niemal do rana; posterunek żandarmerji, który dla obrony osoby marszałka był pomieszczony stale opodal willi, schwytał podobno jakichś osobników, którzy

podali, że celem ich napadu było uprowadzenie Marszałka Piłsudskiego; podobno wymieniono też kilkakrotnie nazwisko min. spraw wewn. Smólskiego. Informacje te potwierdził człowiek tak wiarogodny, jak były premier Moraczewski, który mieszka również w Sulejówku opodal willi Marszałka.

Ale znów z drugiej strony w parę dni po przywróceniu spokoju — pojawił się w „Gazecie Porannej Warszawskiej“ list złożony przez grono najbliższych sąsiadów willi Marszałka, w którym stwierdzono stanowczo że w nocy z 11 na 12 maja panował w Sulejówku zupełny spokój, nikt żadnej walki ani strzałów nie słyszał.

Obok tych wzajemnie sobie przeczących relacji wyłania się w tej tajemniczej sprawie szereg innych sprzeczności, których niepodobna na razie wyjaśnić. Najpierw dlaczego złoczyńcy, jeśli istotnie ich celem było uprowadzenie lub nawet zamach na Marszałka Piłsudskiego — nie podeszli do domu słabo strzeżonego, lecz zaczęli strzelaninę już w odległości kilkuset kroków, jakby chcąc nadać swej złośliwej wizycie najwięcej rozgłosu. Następnie cóż tu miał do czynienia min. Smólski, który dopiero we wtorek w południe przybył do Warszawy z Lublina, a w którego dawniejszej pracy politycznej nie znajdziemy żadnych momentów prowokacji lub terroru. — Ostatnio zresztą

złożył mandat poselski i pracował na stanowisku rejenta. A wreszcie, co najważniejsza, nie wiemy do-
tąd, kiedy i komu oddani zostali złoczyńcy do pro-
wadzenia dalszego śledztwa; nie ukazał się też żaden
komunikat, któryby zeznania ich w formie katégorycznej
i niewątpliwej podał do wiadomości zdenerwowanego
ogółu.

Pewien dymisjonowany dostojnik policyjny, do
którego zwróciłem się natłrczywie o wyjaśnienie
w tej sprawie — nie chciał mi dać konkretnej odpo-
wiedzi. Z uśmiechem przypominał mi rozmaite akty
prowokacji, bomby w redakcji „Woli Ludu“ itd. itd.
W każdym razie i sfery rządowe nie rozprószyły
wszystkich podejrzeń, gdyż w komunikacie, który sta-
nowczo odpierał zarzuty o zorganizowaniu napadu na
willę Marszałka, użyto nieszczęśliwego wyrażenia że
nie było mowy o zamachu „na życie“ Marszałka Pił-
sudskiego. Ale znów trudno identyfikować zamach na
życie z zamachem na wolność osobistą...

Złe też wrażenie wywołało skonfiskowanie tej
wiadomości — niezależnie wiele było w niej prawdy
— w prasie; zrodziły się stąd wręcz odmienne ko-
mentarze; mówiono, że rząd poczuwa się do winy
i chce sprawę ukryć. Egzemplarze „Kurjera Porannego“
wrywano sobie z rąk i przepłacano, „Kurjer Czer-
wony“ w chwili, gdy wypadki o wiele dalej już

poszły — podawał lakonicznie : „łączność między Warszawą i Sulejówkiem zerwana...“

Jakkolwiek więc przedstawiała się ta niejasna i bardzo przykra sprawa, efekt był osiągnięty: ulica została wzburzona, żądano obrony osoby b. Naczelnika Państwa, odgrażano się przeciwko zamachowcom i bandytom.

II Tragiczna środa.

Spokój przed burzą.

Poranek powstał słoneczny i skworny. Normalny ruch na ulicach i zadowolone, śmiejące się do słońca twarze przechodniów w niczem nie zapowiadały brzemiennych wydarzeń tego dnia. Zarówno businessman, uganiający od rana za swymi interesami, jak i leniwy włóczęga kawiarniany nie spodziewali się, że tegoż wieczora ich tryb życia będzie z gruntu przerwany. Dlatego, jeśli oczyma zwykłego przechodnia stołecznego oglądać będziemy szybko biegnące wypadki — to aż do godzin popołudniowych nic zupełnie nie okazywało zdenerwowania ani przeczuć tragicznej walki.

W ministerstwach też i wszystkich urzędach praca szła normalnym trybem aż do południa; tylko wzmocnione posterunki policyjne, dyskretne zresztą a przeważnie ukryte w podwórzach, wskazywały, że nakazano jakąś ochronę specjalną. Dopiero między 1-szą a 2-gą godziną, w tej porze właśnie, gdy elegancka publiczność obsiada wszystkie stoliki w mod-

nych cukierniach, zwrócił uwagę jakiś ruch niepokojący na Krakowskim Przedmieściu, spieszące w różne strony samochody, wzmocnione posterunki wojskowe i drobne oddziały policji. Około 2-giej ku ogólnemu zdziwieniu przechodniów ówczesny minister S. Wojsk. gen. Malczewski przebiegł niemal kłusem ze sztabu generalnego do prezydium Rady Ministrów, za nim gen. Kessler i gen. Suszyński, dowódca miasta. Za chwilę widzieliśmy ich na autach; pojechali na Pragę.

Wywołało to pewne zaniepokojenie; pytano: co to wszystko znaczy? — ale nikt jeszcze uwagi szczególnej na drobne te fakty nie zwracał.

Pewnego rodzaju panikę wniósł dopiero w zwykłym trybem żyjącą ulicę Warszawy — komunikat oficjalny rządu o sytuacji politycznej, poniekąd bojowej... Ale znów dziwnym losu rządzeniem odezwała ta doszła w czas tylko do znikomej ilości czytelników, by pozostać tylko znamienym dokumentem historycznym.

W środę rano Komunikat Rządu zakazał podawania wszelkich wiadomości o „wydarzeniach“ w Sulejówku i o ruchach wojsk; nie wolno też było drukować dodatków nadzwyczajnych. Dzięki temu — niezbyt zresztą szczęśliwemu — zarządzeniu, pisma południowe ukazały się jak zwyczajnie, ale o głuchych wieściach, które nurtowały już wśród szerokich

mas — nie podawały ani słowa. Dopiero o godzinie 2:15 zjawił się w Klubie Sprawozdawców Parlamentarnych w Sejmie min. St. Grabski i w imieniu rządu odczytał następującą enuncjację:

„Szerzona od dłuższego czasu przez spiskowców i burzycieli ładu i porządku zbrodnicza agitacja wśród wojska spowodowała smutne następstwa:

„Kilka oddziałów wojska z niektórych powiatów zebranych w okolicy Rembertowa, podnieconych fałszywymi pogłoskami i uwiedzionych fałszywymi rozkazami dało się pociągnąć do złamania dyscypliny i wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi Rzeczypospolitej.

„Rząd Rzeczypospolitej, stojąc na straży konstytucji i utrzymania ładu i porządku, zabezpieczył stolicę przed wtargnięciem zbuntowanych dowódców i obałamuconych przez nich oddziałów.

„Prezydent Rzeczypospolitej, jako najwyższy zwierzchnik sił zbrojnych państwa, wezwał rozkazem zbuntowanych do opamiętania się i poddania prawowitej władzy.

„Rząd wzywa wszystkich obywateli do bezwzględnego spokoju i posłuchu legalnym władzom Rzeczypospolitej.

„W imieniu rządu, prezes Rady Ministrów:

(—) Wincenty Witos“.

Komunikat ten wywarł wrażenie wprost piorunujące; wszystko, co dotychczas wydawało się plotką i zmyśleniem, misternie uknutą intrygą polityczną — stawało przed oczyma słuchaczy jako fakt dokonany.

W parę minut po oficjalnej enuncjacji w „Klubie Sprawozdawców“ — podała tę odezwę PAT-iczną, pisma jednak południowe były zamknięte lub już wyszły; jeden tylko „Kurjer Warszawski“ zaczął z wydaniem i komunikat pomieścić, potem w dodatku nadzwyczajnym wydrukowała go „Rzeczpospolita“. Odezwa miała być również rozwieszona w formie afiszów na ulicach miasta — ale nim do tego doszło, przewaliła się fala wypadków i wojska Marszałka Piłsudskiego zajęły znaczną część Warszawy...

W ten sposób, głównie drogą telefoniczną i ustną udzielono sobie jakichś niejasnych, powikłanych wiadomości; jedni nie wierzyli i wzruszali z lekceważeniem ramionami, inni denerwowali się nadmiernie. Panika w milionowym mieście rosła powoli lecz stale, tembardziej, że w godzinach popołudniowych ruch wojskowy przybrał jeszcze na sile; około 4-tej przejeżdżała w stronę Pragi artylerja, ale powolnym jeszcze stępem, jakby ciągnąc na zwykłe ćwiczenia. Nieco później kilkakrotnie przesunęła się cicho przez Krakowskie Przedmieście wspaniała limuzyna Prezydenta Rzeczypospolitej ozdobiona

wielkim sztandarem państwowym. Około gmachu prezydjum Rady Ministrów zaczął się powoli gromadzić tłum, pytając wciąż: co to wszystko znaczy? Tymczasem docierały już mętne i niesprawdzone wieści z drugiej strony Wisły, którym zresztą nie chciano wierzyć ani brać ich za pewne.

A dalej: znów oddziały wojskowe ciągnące na Pragę lub ustawiające się na Krakowskim Przedmieściu, kulomioty ustawiane przed Komendą Miasta i przed pałacem Rady Ministrów... Przygotowania niezwykle i niepokojące. Wszystko jednak do ostatniej godziny odbywało się za kulisami tej wielkiej sceny, którą jest śródmieście stolicy. A tymczasem wydarzenia, tak długo ukryte przed okiem szerokich mas, rozgrywały się szybko. Gdy około godz. 11-tej rano, mając już pewne niepokojące informacje, zatelefonowałem do Prezydjum Rady Ministrów — odpowiedziano mi lakonicznie: „Sytuacja bardzo groźna... Trudno mówić przez telefon“...

„Ale gdzie?“

„Na Pradze“...

Na tem urwała się rozmowa.

W Rembertowie.

O godzinie 6-tej rano Komenda Miasta oraz inne zainteresowane czynniki rządowe otrzymały zu-

pełnie pewne wiadomości o przygotowujących się po drugiej stronie Wisły krokach. Wczesnym rankiem Marszałek Piłsudski po opuszczeniu willi w Sulejówku udał się zakrytem autem do Warszawy i tu w mieszkaniu generała Dreszera odbył dłuższą naradę, poczem powrócił do Rembertowa, gdzie naznaczono punkt koncentracyjny wojsk do przygotowującej się akcji.

7. pułk ułanów stał tam już od poprzedniego dnia, gdyż przybył rzekomo na ostre strzelanie na poligonie; równocześnie major Aleksander Rutkowski dowódca baonu alarmowego odmówił wykonania rozkazów gen. Pricha (komendanta obozu w Rembertowie), nie poszedł na nakazane ćwiczenia pokazowe tylko stawiał się do dyspozycji Marsz. Piłsudskiemu. Marszałek wezwał również gen. Pricha, ażeby oddał wszystkie podległe mu oddziały; gen. Prich odmówił jednak, zaznaczając, że dla osobistej ochrony Marszałka gotów jest wydać każde zarządzenie — ale gdy chodzi o dysponowanie oddziałami to ma odmienne instrukcje z Warszawy i złamać ich nie może.

Marsz. Piłsudski meldunek ten przyjął bez słowa protestu; gen. Prich zdał następnie dowództwo Rembertowa pułk. Rudolfowi a sam odjechał do przybywającej w obozie szkoły podchorążych.

Pułk. Paszkiewicz jeden z najdzielniejszych oficerów armji polskiej, uwielbiany przez swych podkomendnych i kolegów „watażka“ — nie namyślał się ani chwili, postawił dwie kompanie aspirantów na nogi i czekał z bronią u nogi. Wkrótce potem odezwał się telefon — to Marszałek sam wezwał pułk. Paszkewicza, którego zdawna zresztą i serdecznie lubił, żądając natychmiastowego oddania szkoły pod jego rozkazy.

„Panie Marszałku — telefonował pułkownik — melduję, iż od przełożonej władzy mam inne rozkazy i je wykonam...“.

„Ty smarkaczu, bałwanie — usłyszał w odpowiedzi — ty chcesz się porywać przeciwko mnie!...“.

Ta rozmowa urwała się, gdyż jeden z rozmowców powiesił słuchawkę...

W chwilę potem Szkoła Podchorążych uformowana w dwie zwarte kolumny ruszyła łąkami i polnymi drogami w stronę Warszawy. Na Pragę doszła równocześnie z wojskami Marszałka...

Tymczasem w Rembertowie ilość wojska rosła; około południa stały tu już do dyspozycji dwa pułki piechoty i jeden jazdy; artylerja stacjonowana w Rembertowie pod naporem pułk. Markusa przeszła na stronę Marszałka. Zaczęły się formować kolumny do marszu na stolicę...

Marsz na Pragę.

W kołach rządowych zdenerwowanie rosło z minuty niemal na minutę.

O godz. 9-tej rano zebrała się Rada ministrów, która wśród rosnącego wciąż podniecenia obradowała bez przerwy aż do chwili opuszczenia gmachu. Co chwila nadchodziły groźne meldunki: najpierw, że 7 pułk ułanów maszeruje z Mińska Mazowieckiego na Pragę, potem że 22 p. p. załadował się w Siedlcach i jedzie ku Warszawie, że wyładowuje się w Miłosnie, że w ślad za nim podąża 13 p. p. z Pułtuszka, że szosą Wawer — Struga — Zegrze na 7 kilometrów od Wawra maszeruje piechota, jedzie artylerja konna, dwie kompanje karabinów maszynowych, dalej — kawalerja i auta pancerne... Okazało się, że manifestacja wojskowa kroila się na wielką miarę.

Wydano szereg zarządzeń, które miały uchronić stolicę przed nieprzewidzialnymi następstwami. Nakazano więc zamknięcie rogatek na Pradze, wystawienie barykad ochronnych oraz silne obsadzenie wszystkich trzech mostów; wydano zakaz najsurowszy, wpuszczania jakichkolwiek oddziałów zbrojnych na teren miasta. Z góry tylko było postanowione, że Marsz. Piłsudski w towarzystwie swej asysty może w każdej chwili bez przeszkód dostać się do stolicy.

Z dowództwa miasta zameldowano Radzie ministrów, że wszystkie te rozkazy wykonano w czas i dokładnie; podobno sam gen. Suszyński odwiedzał poszczególne placówki. Dopiero później okazało się, że powyższe zarządzenia były przeważnie sabotowane a rząd, operując tak wielkim aparatem rozkazodawczym, nie zdołał zupełnie zabezpieczyć stolicy. Tymczasem parę drobnych wydarzeń dowiodło, że po drugiej stronie panuje już zupełna pewność siebie. Oto gen. Dreszer, wezwany z rozkazu ministra do komendy miasta w celu wytłumaczenia swego udziału w demonstracjach kawiarnianych, odpowiedział wesoło, że jeśli ktoś ma do niego interes, to może przyjść do pułku, gdzie on czeka w otoczeniu swoich żołnierzy. Na dworcu Wschodnim zaś posterunek wojskowy, którego postawa i czynności były nieco podejrzane — na rozkaz Komendy Miasta, ażeby natychmiast zdał służbę innemu posterunkowi, odpowiedział odmownie, twierdząc że dworca nie opuści. Gdy przyjechał zaś pluton żandarmów, ażeby opornych żołnierzy siłą odprowadzić, zrewoltowani wezwali na pomoc bojówkę socjalistyczną z radnym miejskim Arciszewskim na czele a postawa, publiczności była tak stanowcza, że żandarmi musieli wycofać się szybko z dworca. Również w pałacu Mostowskich, gdzie mieści się DOK. warszawskie, zebrali się ofi-

cerowie w tak niepokojącej liczbie i nastroju, że minister Malczewski kazał gmach otoczyć wojskiem.

Prawie równocześnie z wydanem przez Radę ministrów komunikatem, iż „dzięki szybkim zarządzeniom zdołano zabezpieczyć stolicę przed wtargnięciem zrewoltowanych oddziałów“ — okazało się, że miasto wogóle stoi otworem. Komisarz rządu Tłuchowski osobiście zwiedził wszystkie posterunki, przy czem stwierdził, że ani na rogatkach praskich ani na mostach nie znajdują się żadne oddziały wojskowe. Rozkazy poszły w próżnię...

Tymczasem z Rembertowa i Miłosnej ruszyły na Pragę zwarte kolumny wojska pod dowództwem marszałka Piłsudskiego i zbliżały się zwolna ku rogalce grochowskiej. Co chwila dźwięczały telefony: są już w Wawrze, są w Grochowie, wchodzą na Pragę. Na rogalce jako jedyny reprezentant prasy znalazł się wczas pocztą pantoflową uprzedzony współpracownik żargonowego „Volkszeitung“; p. Nowaczyńskiego, który się tam przypadkowo pojawił — poznano, na Pradze, zaaresztowano i odstawiono później na ulicę Dziką...

Koszary 36. pp. były na Pradze punktem zbiorczym oddziałów i oficerów warszawskich. Tu gromadziły się zmobilizowane oddziały Strzelca pod komendą mjra Ziemskiego; później — jak opowiadano —

miały one obsadzić niektóre domy na pl. Zamkowym i stąd ogniem wspierały wojska, atakujące ze strony Pragi.

W godzinach popołudniowych zjechał do 36 pp. Marsz. Piłsudski, tutaj zameldował się u niego liczny zastęp oficerów, stacjonowanych w Warszawie; sztab zaczął spieszenie pracować; wydawano pierwsze rozkazy, z dawna zresztą przewidziane i opracowane.

Po drugiej stronie Wisły też szły przygotowania gorączkowe.

O godzinie 4-tej przyjechał samochodem ze Spały Prezydent Wojciechowski i wszedł na salę obradującej Rady ministrów. Tu informował się szczegółowo o całej sytuacji i zapowiedział stanowczo, że „z rebeljantami potrafi odpowiednio porozmawiać”. Uczynił jednak krok ostatni i wyjechał z Prezydium — jak zrazu myślano — do Belwederu a jak się okazało później, na most Poniatowskiego.

Na moście Poniatowskiego.

Most leżał w słońcu cichy i jasny; niedawno właśnie wstrzymano wszelki ruch kołowy a na wiadukcie od strony miasta rozłożyła się w tyraljerze osłona wojskowa (jedna komp. Szkoły podchorążych). Po drugiej stronie rysowały się ciemne kontury barykady, wzniesionej u wjazdu do parku Skaryszewu-

skiego, w którym okopywały się już wojska Marszałka.

Był to już widok zupełnie frontowy, gardziel przygotowana do rozpoczęcia strzelaniny... Oficerowie i żołnierze skromnego liczbowo oddziałku „rządowego“ byli spokojni i przygotowani do walki; wiedzieli, że mają bronić Prezydenta Rzeczypospolitej ale nie orjentowali się jeszcze przed kim i o co... Przekonali się wkrótce.

Na tym moście więc, który był ongiś chlubą Warszawy a potem nieodżałowaną stratą po zniszczeniu przez Niemców — rozegrać się miała najbardziej plastyczna scena dziejowego dramatu, który w tych dniach przeżywaliśmy. Spotkać się mieli dwaj przyjaciele od dziesiątków lat, związani ongiś wspólną pracą konstytucyjną, potem pełną entuzjazmu i chwały działalnością w niepodległej Polsce Publiczną było tajemnicą, że Marsz. Piłsudski swoją wolą i nakazem wyniósł Stanisława Wojciechowskiego na stanowisko Prezydenta, spodziewając się po nim lojalności zupełnej i posłuchu w pewnych sprawach; wiadomem było, że stosunki ich rozluźniły się nieco w 1923 r. po utworzeniu rządu W. Witosa i po ustąpieniu Marszałka z wojska ale potem i to z okazji pewnej uroczystości rodzinnej nawiązały się znowu... Obecnie dziwną losu kolejną dwaj ci ludzie od tak dawna i tak bliskimi zespoleni węzłami — spotkać

się mieli jako dwaj przeciwnicy, z których jeden reprezentował dostojęństwo Rzeczypospolitej a drugi gniew i wrzenie rozdrażnionego społeczeństwa.

Samochód Prezydenta przejechał wolno cały wiadukt i zatrzymał się u stanowiska podchorążych. Stąd Prezydent Wojciechowski w towarzystwie dwóch adjutantów, mjr. Radomyskiego i mjr. Meyera (innej świty nie było) udał się piechotą ku placówce Piłsudczyków. Stał tam 7 p. ul. pod dowództwem pułk. Stamirowskiego.

„Gdzie jest wasz komendant?” — padło pytanie. Dowódzca placówki wezwał rychło dowódcę pułku, któremu P. Prezydent wręczył kartkę papieru; nie był to — jak mylnie przedstawiała prasa — list, wzywający marszałka do poddania się, lecz tylko lakoniczna propozycja odbycia natychmiastowej rozmowy. Przy tej okazji rozegrało się parę momentów bardzo przykrych. Prezydent zapytywał oficerów, czy uznają jego władzę i rozkazodawstwo; oficerowie milczeli...

Po chwili zjawił się z przeciwnej strony mostu marszałek Piłsudski z gen. Dreszerem oraz swymi adjutantami.

Otoczenie obu stron usunęło się; dwaj dostojnicy spotkali się na środku mostu i rozmawiali parę minut. Słowa, jakie tu padły, niewątpliwie będą długo

wertowane w przyszłych badaniach historycznych; niestety prawdziwego ich brzmienia nie będziemy znali, zanim któryś z rozmowców sam go nie poda; otoczenie, stojące w dość znacznej odległości, zdołało pochwycić tylko słowa poszczególne i gesty ożywione.

To pewne, że p. Prezydent w stanowczym tonie wezwał marszałka do cofnięcia wojsk i poddania się jego władzy.

Marszałek Piłsudski odpowiedział: „Ani myślę...”

Poczem ujmując Prezydenta za klapę surduta powtórzył z naciskiem żądanie, by rząd obecny ustąpił. Chciał przytem widocznie stanowisko swe i powody manifestacji wytłumaczyć.

Prezydent przerwał krótkim pytaniem: „Proszę o odpowiedź: tak albo nie”. Marszałek wstrząsnął przecząco głową; słów jego nie słyszano.

„A zatem rozstajemy się” — rzekł p. Wojciechowski, poczem nie podając ręki Marszałkowi, zwrócił się do swego otoczenia i wyrzekł historyczne już dzisiaj słowa: „Żołnierze, czyńcie swoją powinność!” Podszedł później wolnym krokiem do samochodu i ruszył ku miastu.

Ale na moście Poniatowskiego rozegrało się jeszcze parę scen, godnych pamięci; oto wkrótce po odjeździe Prezydenta — Marsz. Piłsudski podszedł

do kompanji podchorążówki, dowodzonej przez znanego legionistę, świetnego żołnierza i kawalera „Virtuti Militari“ mjra P., Marszałek chciał przemówić...

„Gotuj broń!“ — padła ostra, spokojna komenda...

„Jak to czyż ukochane moje dzieci będą strzelać do mnie?...“

Milczenie.

„Majorze — ja ci dałem ten krzyż, który masz na piersiach“...

„Panie Marszałku — proszę posłusznie nie zmuszać mię do wydania rozkazu...“

Marszałek Piłsudski odwrócił się wolno; „świetnie, świetnie...“ — mruczał pod wąsem; w chwilę potem odjechał na Pragę.

Wśród żołnierzy panowała cisza. W niedługi czas potem jakiś ruch, niepokojący zaczął się od strony Pragi; ustawione u wylotu mostu barykady rozsunięto z nagłą; zaczęła się wylewać w szybkim marszu kolumna piechoty; na czele kilku konnych. Znów dreszcz przebiegł oddziałek: atak? — znów komenda: Gotój broń!... W tej chwili podniosły się radosne okrzyki — to pułk. Paszkiewicz prowadził z Rembertowa swe dwie kompanje Szkoły Podchorążych... Meldunek, objęcie komendy... Obecni na moście nie mogli wyjść z podziwu jak pułk. Paszkiewicz dokonał swego brawurowego marszu —

„Jakto? Uformowałem kolumny i odszedłem do Warszawy!...“ „Ale czy nie pertraktowano? nie grożono?“ — „Na wszelkie propozycje odpowiedziałem, że jestem wierny przysiędze i słucham rozkazów, na groźby — że nie radzę, by kto do mnie się zbliżał; jesteśmy przecie uzbrojeni. Nikt nas więcej nie nagabywał...“

Był wreszcie jeden moment wesoły: Aresztowanie pułk. Wieniawy-Długoszewskiego. Znany z dowcipu i werwy pułk. Wieniawa zagadał się z przeciwnikami ażeby dać możliwość wycofania się ułanom 7. p. — a zaaresztowany, zażądał rozkazu na piśmie. Rozkaz taki przedstawiono — wobec czego Wieniawa oddał lojalnie szablę i rewolwer ale przestrzegwał trzech arestujących go oficerów, że szabla jest pamiątkowa, dar kolegów, a rewolwer zdobyty na wojnie... „Nie chciałbym tych rzeczy stracić — sam je sobie odbiorę wieczorem w komendzie miasta — ale tymczasem czynię panów odpowiedzialnymi... Rewolwer to rzecz łakoma“. Przyrzeczono mu, że broń będzie dobrze strzeżona. „No — a teraz panowie, woła pułk. Wieniawa, nie wypada bym się dać arestować bez walki, to wstyd! Jestem bezbronny — więc weźcie mnie panowie przynajmniej i zanieście do auta!“... Wśród ogólnej wesołości spełniono i tę ostatnią prośbę.

Wieczorem istotnie pułk. Wieniawa odebrał w komendzie miasta swą szablę i rewolwer; czy równie zaś kurtuazyjnie aresztował tych, co jego uwięzili — fama milczy...

Ostatnie chwile w Radzie Ministrów.

W kilkanaście minut po godz. 5-tej widziano znów limuzynę Prezydenta na Krakowskiem Przedmieściu w otoczeniu asysty wojskowej i policyjnej. Firanki były rozsunięte; widać było twarz Prezydenta Wojciechowskiego spokojną, poważną i zdecydowaną.

Za chwilę wszedł na salę obradującej wciąż Rady Ministrów, zdał krótko sprawę z przebiegu nieudanych pertraktacyj i w bardzo stanowczym tonie polecił natychmiastową akcję wojskową. Zdecydowana jego postawa i ostry ton głosu wywołały zdumienie; po raz pierwszy człowiek ten, którego nieraz tak lekceważono, okazał tyle siły i hartu. Nieprawdziwą jednak jest informacja, podana przez jednego z wysokich urzędników prezydjum Rady Ministrów, jakoby rząd na chwilę przed powrotem Prezydenta postanowił w panice zgłosić swą dymisję — a dopiero sam Prezydent żądanie to odrzucił i nakazał mu pozostanie. Rząd wogóle aż do pamiętnych chwil w Wilanowie nie nosił się z zamiarem ustąpienia.

Tutaj Prezydent Wojciechowski podyktował odezwę do wojska, która z natury rzeczy dotarła do znikomej ilości oddziałów. W czasie walk czytano ją dopiero na wpół zdartych afiszach; oto jej brzmienie:

„Żołnierze Rzeczypospolitej!

„Honor i Ojczyzna — to hasła, pod którymi pełnicie szczytną służbę pod sztandarami Białego Orła.

„Dyscyplina i bezwzględne posłuszeństwo prawowitym władzom i dowódcom, to najważniejszy obowiązek żołnierski, na który składaliście przysięgę,

„Wierność Ojczyźnie, wierność Konstytucji, wierność legalnemu rządowi — jest warunkiem dotrzymania tej przysięgi.

„Obowiązek ten przypominam Wam, żołnierze, jako Wasz Najwyższy Zwierzchnik i żądam bezwzględnego wytrwania w wierności żołnierskiej.

„Tych, którzy o obowiązku tym zapomnieli, wzywam i rozkazuję im natychmiast powrócić na drogę prawa i posłuszeństwa mianowanemu przeze mnie ministrowi spraw wojskowych“.

Zarządzono równocześnie zawieszenie praw obywatelskich i wydano ostateczne zarządzenia; minister Malczewski oraz generałowie Kessler i Rozwadowski omawiali nową dyslokację wojsk i ochronę

stolicy przed wejściem zrewoltowanych oddziałów. Rozkazy te jednak były spóźnione; jednocześnie niemal w gmachu ministerstwa Spraw Wojskowych oraz w pałacu Mostowskich aresztowano przeciwników Marszałka Piłsudskiego. Okazało się, że cała akcja była przygotowana z góry i w najdrobniejszych szczegółach obmyślona. Ze strony czynników rządowych zaś zbyt usilnie wierzono w oddanie i wierność wojska, które mając do wyboru dwa autorytety: Rządu Rzeczypospolitej i byłego Naczelnego Wodza, szło raczej za tym ostatnim z sentymentu lub obawy.

P. Prezydent udał się jeszcze raz do koszar 36 pp. na Pragę i przemówił do żołnierzy, wzywając ich do obrony sztandaru Rzeczypospolitej; oficerowie i żołnierzy milczeli; podobno jeden z oficerów w parę chwil po tej scenie odebrał sobie życie.

Tymczasem z Rady ministrów wychodziły raz po raz rozkazy gorączkowe i chaotyczne; na placu Zamkowym ustawiał się spieszenie bataljon 30 pp. i karabinami maszynowymi zamykał wejście od mostu Kierbedzia.¹

Przed prezydjum gromadziły się wciąż tłumy; około godz. 7-mej p. Lenc z rozkazu Prezydenta zawezwał Radę ministrów do Belwederu. Jednocześnie od strony Zamku i Nowego Zjazdu grzmiały już strzały...

Pierwsze strzały.

— Gdy wszystkie te wydarzenia toczyły się z błyskawiczną szybkością — z wolna posterunek prasowy w Sejmie stawał się niewystarczający; brakowało już potroszę materiału, telefony wciąż zajęte, odpowiedzi gorączkowe.

Sporo wiadomości zasiągnąłem a nastrój prawdziwie już podniecony obserwowałem w Prezydjum Rady Ministrów. Ale gdy i tam uprzejmie, lecz dość znacząco poproszono wszystkich gości, by zechcieli pałac opuścić, gdyż za chwilę rząd w pełnym składzie wyjeżdża — najlepszym punktem obserwacyjnym okazała się weranda cukierni Lourse'a. Trudno, przecie i tak cały punkt ciężkości z ośrodków państwowych przeniósł się na ulicę...

Publiczność, jak zwykle o tej porze, zappełniająca doszczętnie piękny lokal „pod kolumnkami“, w części tylko była o zajściach poinformowana. Poza tem przyszli tam jak zwykle codzienni goście, którzy ze zdumieniem przyglądali się gromadzącym się na ulicach tłumom i pytali zaniepokojeni o przyczyny tego rozruchu. Pamiętajmy przytem, że dwa tylko pisma popołudniowe: „Kurjer Warszawski“ i „Rzeczpospolita“ podały uspakajające wyjaśnienie rządowe, w którem doczytać się można było całej prawdy. Było więc wielu gości, którzy zgoła mieli inne kłopoty na głowie.

Jeden taki np. cisnął się wraz ze mną do telefonu i dobijał się gwałtownie o dwa bilety „darmowe“ do teatru Niewiarowskiego...

W tym całym rozgardjaszu, gdzie mimo powagi sytuacji krzyżowały się uśmiechy i dowcipy — uderzyły nagle pierwsze, rozpierzchłe strzały karabinowe.

Było to coś nieoczekiwanego; dreszcz przerażenia przebiegł tłumny. Do tej chwili „Warszawka“ zawsze powolna, zawsze sceptyczna — nie dawała jeszcze wiary, że wydarzenia idą ku tak poważnym sprawom. Sam byłem świadkiem, gdy z uśmiechem i tupetem bagatelizowano jeszcze niepokojące oświadczenie rządowe.

„Po co tyle paniki — mówił do mnie pewien poważny przemysłowiec — przecie to wszystko na niczem się skończy...“.

„Ależ panie prezesie — wojska są na Pradze...“

„Nie ma żadnej obawy; na głupstwa nas nie stać. Jestem dziś wieczorem — w Oazie“ — żegnał się z uśmiechem. Było to godz. wpół do szóstej...

A tu nagle coraz gęstszy, coraz bardziej gorąckowy trzask karabinów... jeszcze się nie orjentowano, jeszcze ludzie spoglądali na siebie niemo i ze zdumieniem „Jakto? więc to na serjo? między sobą?“ — czytało się w oczach wszystkich.

Dopiero gdy odezwał się miarowy stukot karabinów maszynowych, tłum zerwał się i rzucił bezładnie do ucieczki. Jednocześnie z ulicy fala przechodniów cisnęła się w boczne ulice i bramy, wszystko zakotłowało się i skłębiło; odezwały się okrzyki i wzajemne nawoływania.

W tej chwili zagrzmiały działa, kilkanaście krótkich, mocnych uderzeń...

Pod kolumną Zygmunta.

Sytuacja na placu Zamkowym przedstawiała się odrazu dla wojsk rządowych beznadziejnie. Stało się to wskutek niewytłumaczonej niedbałości i opóźnienia a w części i pokrzyżowania rozkazów.

O godzinie 10 rano więc, gdy wojska marszałkowskie podsuwały się pod Pragę — min. Malczewski zarządził ostre pogotowie oddziałów, na które rząd przedewszystkiem liczył. Były to pułki piechoty 30 i 21, stojące na Cytadeli i szereg pomniejszych oddziałów służbowych; na Cytadeli zapauował nasirój gorączkowy, oficerowie wiedzieli już co się święci; głuchy rumor szedł też między żołnierzami... Telefon z Komendą Miasta i Ministerstwem dzwięczał bez ustanku.

Około południa zauważono, że 21 pp. bez żadnego rozkazu z zewnątrz, stanął na alarm na placu w ordynku i wyekwipowaniu bojowym. Na pytania

dowódcy Cytadeli, płk. Modelskiego, co to ma znaczyć, oświadczył płk. Żurakowski, że chce zobaczyć jak się żołnierze prezentują w nowych drelichach... Ale pocóż w takim razie wyjechały karabiny maszynowe i tabor pułku?... Oczywiście alarm ten natychmiast cofnięto z góry, była to jednak znamienna wskazówka, że rząd nie mógł opanować sytuacji i nie mógł liczyć nawet na oddziały, uważane dotychczas za „wierne“. Później okazało się, że rozkaz alarmowy wydał gen. Piskor Dca Modlina, któremu jednak pułk 21, jako należący do O. K. Łódź nie podlegał. Wobec tego gen. Suszyński zaaresztował gen. Piskora, który przesiedział parę godzin w Komendzie Miasta i został wypuszczony dopiero za złożeniem słowa honoru, że zachowa w rozgrywającej się już wówczas walce — zupełną neutralność. Słowa tego dochował gen. Piskor lojalnie, a powróciwszy do mieszkania swego w pałacyku przy ul. Myśliwieckiej — odwiedzał nawet oblężonych „rządowców“ w Belwederze.

Około godziny 1-szej gen. Suszyński poinformował pułk. Modelskiego o sytuacji, podał, że 36 pp. podsuwa się z Pragi do mostu Kierbedzia i ma zamiar go obsadzić — a wreszcie doręczył rozkaz Dowódcy O. K. gen. Dzierżanowskiego, polecający 30 pp. zająć most i bronić go przed włargnięciem

przeciwnika, posuwając się nawet do użycia broni palnej.

Okazało się jednak, że 30 pp., który utrzymywał około 200 ludzi na wartach w rozmaitych punktach miasta (36 pp. — rzecz charakterystyczna — wart nie zluzował!) — mógł wystawić jedną kompanię (szkołę podoficerską) i pluton karabinów maszynowych. W międzyczasie przybyły do Cytadeli 1 pułk artylerji konnej i 1 pułk art. najcięższej. Sformowano więc dorywczo oddział dla obrony mostu w następującym składzie: 1 komp. 30 pp. z 1 plutonem C. K. M. (dca kpt. Schütz), 2 samochody pancerne pod komendą rotm. Szymańskiego i 1 działo pod por. Szczepanem Olchowiczem. Ogólną komendę objął major Kłobukowski.

Dopiero po godz. 4-tej oddziały te obsadziły plac Zamkowy. Tymczasem na moście Kierbedzia zamarł już wszelki ruch — a oddziały 36 pp. znajdowały się już po stronie warszawskiej; pułk. Sawicki z otoczeniem stał nad brzegiem Wisły.

Obrona spóźniła się więc prawie o całą godzinę; mowy już nie było o obsadzeniu wylotu mostu Kierbedzia, który zamknięty kilkoma tylko karabinami maszynowymi, tworzyłby przesmyk t. zw. „defilé“ wprost nie do przebycia.

Pozostawała więc bardziej mordercza i niewątpliwie cięższa walka na samym Zjeździe i na placu. Major Kłobukowski dał jednak dowód dobrej woli i udał się osobiście do pułk. Sawickiego, pokazał rozkaz objęcia mostu, wtrącając, że zaszła pewno jakaś omyłka i prosił wreszcie, by 36 pp. odmaszerował. W czasie krótkiej, ożywionej rozmowy usiłowano majora Kłobukowskiego zaaresztować; na to wydobył on jednak rewolwer i zapowiedział, że da się chyba wziąć siłą... Pułk. Sawicki pozwolił mu więc odejść do swego oddziału.

W tejże chwili posypały się strzały z okien, obsadzonych przez oddziały „Strzelca“, co później usiłowano złożyć na rzekome oddziały „faszystów“. W ślad za tem otworzyły ogień oddziały obu stron, zrazu bezładnie i bez sprawnej komendy. Nic dziwnego... Major Kłobukowski w chwili gdy z nad Wisły biegł do swego oddziału — upadł przy balustradzie, okalającej od góry pałac „Pod Błachą“ ranny w nogę... z tyłu.

W ten sposób padły pierwsze strzały, które tak wielką rozpętać miały burzę...

Opisaliśmy ten fragment początkowy walk obszerniej, gdyż niewątpliwie będzie on w przyszłości długo jeszcze wertowany dla ustalenia „pierwszej odpowiedzialności“. Sprawa to niewątpliwie ważna,

ale z góry poniekąd przesądzona. Faktem jest, że obie strony miały rozkaz użycia siły aż do otwarcia ognia włącznie. W chwili tak silnego podniecenia, gdy na dobitkę padły jakieś strzały z okien — komenda zawisła niejako na ustach oficera a broń paliła ręce żołnierza. W tym momencie myślano o walce z „wrogiem“ a nie zdawano sobie sprawy, że „wrogiem“ tym są bratnie oddziały...

Przytem szczególnie widoczne znaki kul stwierdzają, że od strony Pragi kanonada istotnie była silna. Na ścianie magazynu maszyn przy Nowym Zjeździe widnieje do dziś spory wyłom, wydarty pociskiem armatnim; strzał ten paść mógł tylko z drugiej strony Wisły, w czym dowód, że były tam już obrane z góry pozycje artyleryjskie i armaty skierowane na miasto.

Pluton odwodowy 36 pp. zdołał przez ogrody od strony Wisły — przedostać się do Zamku i stąd strzelał do leżących w tyraljerze żołnierzy 30 pp. Padł jeden z pierwszych rtm. Szymański (mówiono, że wskutek przedwczesnej eksplozji granatu ręcznego), padł por. Olchowicz, który z otwartej pozycji dał kilka strzałów w most Kiberbedzia, zresztą nieszkodliwych; główne straty poniosła kompanja 30 pp. Walka trwała około 3 kwadransów.

Pod kolumną Zygmunta więc, która pamięta powstanie Kilińskiego i tyle bohaterskich wysiłków

oręza polskiego — w obliczu Zamku Królewskiego i pałacyku Ks. Józefa Poniatowskiego padły pierwsze strzały bratnie, pierwsze trupy i ranni. Nie obyło się też bez strat z pośród ludności cywilnej, która ze zwykłą ciekawością a nieświadomością gotującej się walki — gromadziła się opodal mostu, ażeby zobaczyć tryumfalne wejście wojsk Marszałka Piłsudskiego.

Wszystkie te wypadki biegiły z szybkością błyskawiczną. W chwili, gdy rząd pod ochroną oddziałów podchorążówki opuszczał pałac Rady ministrów — na Krakowskiem Przedmieściu opodal pomnika Mickiewicza ustawiały się szeregi 7-go p. uł. Od strony Zamku odezwały się tony „Pierwszej brygady“... To 22 p. p. wkraczał z muzyką na czele do miasta. Podniosły się wiwaty i okrzyki „Niech żyje Piłsudski“.

Entuzjazm ulicy.

Ulica warszawska wśród pierwszych rozgrywających się wydarzeń okazała zupełną dezorientację. Przeważnie była to gawiedź, gromadząca się z pustej ciekawości; słyszano już coś na mieście o nadciągających wojskach, nazwisko Piłsudskiego było na ustach wszystkich — ale o co właściwie chodzi, kto z kim walczy i do czego dąży — nie wiedziano. To też gdy Prezydent Wojciechowski opuszczał po raz ostatni prezydjum R. M., odezwały się, nieśmiało co

prawda, okrzyki: „Niech żyje Prezydent!“ i zanucono „Rotę“, ten sam tłum jednak w chwili, gdy z pod Zamku ruszyły zwarte kolumny wojska marszałkowskiego, wołał gromko: Niech żyje Piłsudski! Niech żyje Dziadek!

Co prawda Marszałek zawsze miał na ulicy warszawskiej większą popularność, aniżeli nieznany bliżej i chłodno przyjmowany Wojciechowski.

Podobnie nie orjentowano się należycie w samej sytuacji bojowej, jeśli ją już wówczas bojową nazwać można. Była to zresztą sytuacja dziwaczna, w której trudno się było rozeznać wojskowym a cóż dopiero gawiedzi ulicznej! Po tych samych arterjach miasta snuły się jeszcze oddziały rządowe i marszałkowskie; oficerowie wezwani alarmem z mieszkań spieszyli do komendy miasta, by zameldować się do służby u gen. Suszyńskiego a zastali tam sztab Marsz. Piłsudskiego... Jednym słowem chaos, który powiększała jeszcze przewalająca się, głupio wesoło lub jeszcze głupiej ironizująca fala ludzka.

W takim to momencie zjawił się przed gmachem komendy miasta — pułk. Paszkiewicz i zastał tam stojącą kompanję wiernego Marszałkowi 21 pp... Ze zwykłą sobie jednak brawurą zakomenderował: „Żołnierze na mój rozkaz — marsz!...“ Zwymyślał przytem młodszego oficera, który zapomniał oczywiście języka

w gębie, że oddział stoi tu darmo i... odprowadził go do Belwederu.

Zdarzały się też i inne omyłki.

Niedługo po odjeździe rządu do Belwederu poczęły od strony Nowego Światu zajeżdzać samochody, pełne żołnierzy w stalowych kaskach. Ogólna konsternacja; okrzyki umilkły — z chodników wołano już dla odmiany: Niech żyje Józef Haller! Zdawało się bowiem, że to posiłki rządowe, które z opóźnieniem przyjeżdżają bronić pałacu Rady Ministrów. Nie domyślano się, że jest to właśnie gros sił z Pragi, które zjechały przez Most Poniatowskiego, opuszczony już przez cofającą się w stronę Belwederu szkołę podchorążych. Rzecz jasna, że z chwilą sforsowania mostu Kierbedzia i ten drugi punkt zaporowy żadnego nie miał już znaczenia.

Dopiero, gdy ciekawsi zaczęli pytać żołnierzy, gdy dowiedzieli się prawdy — okrzyki i entuzjazm podniósł się na nowo. Wogóle ulice warszawskie w środę wieczór około godziny 8—9 czyniły wrażenie jakiegoś wielkiego, nieoczekiwanego święta. Zapomniano szybko o krwi rozlanej na placu Zamkowym; tłum przelewał się wśród okrzyków i śpiewów; ruch samochodowy olbrzymi; kawiarnie, przez pewien czas zamknięte, znów pootwierane i oświetlone rzęsiście.

Były też rzeczy przykre i haniebne. Od strony pl. Zamkowego szedł ksiądz, który umierającym tam udzielał ostatniej pociechy; szedł w komży i z przyborami kościelnymi, mały chłopak uderzał w dzwonek, którego nikt zresztą wśród gwaru nie słyszał... Ten „klecha“ drażnił rewolucyjnie nastrojoną i rozłobuzowaną ulicę. Zaczęto gwizdać i sypać wyzwiskami — co „waleczniejsi“ podchodzili ku kapłanowi i wygrażali mu pięściami...

Jakaś starsza kobieta biegła Krakowskiem Przedmieściem, nawpół przytomna, płacząc i łamiąc ręce; zabito u jej boku męża czy syna... I znów znaleźli się dowcipniejsi, którzy kpili z boleści nieszczęśliwej: „cóż to znaczy wobec zwycięstwa!..“

Momentów takich było sporo; trudno je wszystkie spisać. Na drugi dzień zresztą, gdy trupy padać poczęły gęściej — nastrój był bardziej ponury.

Na razie cieszą się zmianą stosunków, jak jakąś nowością, sensacją nieoczekiwaną.

Pod gmachem Komendy Miasta, do której przeniósł się sztab wojsk marszałkowskich, czekał cierpliwie zwarty czworobok ludności cywilnej, chcąc za każdą cenę zobaczyć Marszałka lub generałów, których nazwiska podawano sobie z ust do ust. Rzecz jasna, że w podtrzymaniu tego nastroju rolę niezwykle ważną grał Związek Strzelecki i rozmaici sympatycy-

piłsudczycy, którzy udzielali informacji, wznosili okrzyki i raz wraz intonowali pieśń pierwszej brygady.

Zresztą na ogół biorąc, nie zdawano sobie sprawy z powagi sytuacji; zdawało się, że na tych pierwszych strzałach skończy się cała batalja — a Warszawa i rząd odda się bez oporu Marszałkowi.

Zajmowanie miasta.

Tymczasem dwie fale zwycięskiego wojska płynęły do centrum miasta przez oba zdobyte mosty i obsadzały wszystkie ważniejsze arterje, gmachy i zakłady. Bataljon manewrowy z Rembertowa pod dowództwem mjr. Rutkowskiego zamknął zwartym czworobokiem odwach i komendę miasta. Oddziały 22 pp. stanęły na pl. Saskim i obsadzały gmach Sztabu Generalnego; 7 p. ul. z Krakowskiego Przedmieścia przesunął się w ul. Ossolińskich ku Wierbowej, skąd spodziewano się ewent. dywersji od strony Cytadeli. 4 pułk strzelców konnych przez ul. Chmielną i pl. Napoleona (Warecki) posuwał się w stronę dworca Wiedeńskiego. Ogółem oddziały Marszałka dotarły do Aleji Jerozolimskich, nie znajdując żadnego oporu; ku pl. Trzech Krzyży i ul. Marszałkowską w dół do kościoła Zbawiciela wysuwano ostrożnie zrazu patrole, obawiając się zasadzek i walki. Istotnie też tu rozegrały się dalsze utarczki.

Wojska rządowe przegrały pierwszą część batalerii sromotnie; nie tylko bowiem utracono błyskawicznie niemal najpewniejszą linię oporu — Wisłę i dwa łatwe do obrony mosty, nie tylko oddano atakującym centrum miasta, wraz z głównymi gmachami wojskowymi a co ważniejsza centralę telegraficzną i telefoniczną — ale na dobitkę słabe i tak siły bojowe rozdzieliły się na dwie grupy, które się już nigdy złączyć nie miały. Jedna to zdziesiątkowany oddział, który walczył na pl. Zamkowym, poczem wycofał się unosząc rannych zrazu na ul. Daniłowiczowską a potem na Cytadelę. Z zapadającą nocą zamknięto bramy Cytadeli i obsadzono wzmocnionymi posterunkami, oczekując ataku; ta część wojska jednak do chwili poddania się — nie miała już wziąć udziału w walce. Jednocześnie zaś druga garstka walcząca w obronie Rządu — szkoła podchorążych — cofała się zwolna w Aleje Ujazdowskie, przygotowując się tutaj do obrony Belwederu. Tutaj to przyszło do starcia z 2-gim dywizjonem (spieszonym) 1-go p. szwoleżerów, który spieszył ze swych koszar przy ul. Ułańskiej do środka miasta. Podchorążych widać uprzedzono; złamał się szyk; w mgnieniu oka stanęły w rząd cztery karabiny maszynowe; gdy tłum się rozwarł, maszerujący dywizjon ujrzał je... o 20 kroków

przed sobą. Runęła salwa. Zostawiając 12 trupów, dywizjon pierzchnął w popłochu.

Pułk. Głogowski ostrożniej prowadził resztę pułku, wzmocniony nadto oddziałem pionierów i jedną baterją artylerji konnej. Na czoło wysunął szpicę z oficerem i trzema żołnierzami. Szpica, wychylając się w Aleje, natknęła się na jadącego z oddziałem ministra wojny. Komendant patrolu, nim opamiętał się, już był ubezwładniony. Zdążył krzyknąć: „Chłopczy, dajcie znać pułkownikowi!“ Jego ułani zdarli konie i pomknęli wstecz. Świsnęły kule. Dwaj runęli na ziemię, ale trzeci dotarł do pułk. Głogowskiego, który skierował cały oddział drogami okólnymi.

Tymczasem rozgrywała się walka na wewnętrznych również terenach. Pułkownik-lekarz Kołłątaj przy pomocy strzelców zajął gmach Dowództwa Korpusu (Pałac Mostowskich) bez większego zresztą oporu i walki. Groźniejsze sceny rozegrały się w gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych, gdzie zrazu na rozkaz ministra zamierzano aresztować zwolenników Marszałka — a wśród szybko toczących się wydarzeń aresztowano oficerów sprzyjających rządowi. Komendę objął gen. Sławój-Składowski; obok niego z rewolwerami stanęli Górecki, Norwid-Neugebauer, pułkownicy Rozen i Jagrym-Maleszewski. Ten ostatni, znany zresztą z animozji dotychczasowej do Marsz.

Piłsudskiego aresztował gen. Szpakowski, szefa gabinetu — zrywając mu brutalnie sznury generalskie i odznaczenia...

Uwięzionych oficerów przewieziono do Komendy Miasta; gmach Ministerstwa rychło potem zajęły oddziały podchorążówki.

Wśród wszystkich tych wydarzeń i utarczek zaczęły się wyłaniać pierwsze zarysy trwalszej linii bojowej.

Pierwsza konfiguracja frontu.

Linja bojowa walk warszawskich nie tworzyła się według jakichś z góry oznaczonych planów, lecz kształtowała się dzięki zbiegowi okoliczności, podobnie zresztą jak w czasie słynnych walk lwowskich. Wydarzenia warszawskie biegły szybciej, ale tak, jak we Lwowie w pierwszych dniach przejść można było stosunkowo spokojnie ze strony ruskiej na polską — tak też i w stolicy w pierwszych godzinach nie było ani istotnej linii bojowej, ani większych przeszkód w ruchu ulicznym.

Decydującym faktem tej konfiguracji było wycofanie się rządu a za nim i oddziałów wojskowych pod Belweder, który, położony na krańcach miasta, stał się ośrodkiem zarówno obrony, jak i ataku. Było w tem niezmiernie szczęśliwe zrządzenie Opatrz-

ności, gdyż główna siła i zaciekłość walk przeniosła się w dzielnicę ogrodową a miasto samo niewielkie stosunkowo poniosło szkody. Wyobraźmy sobie jednak, gdyby ośrodkiem tym był pałac Sztabu Generalnego, dworzec wiedeński lub inny gmach reprezentacyjny wśród wielkich masywów kamienicznych — wtedy niewątpliwie zarówno szkody materjalne, jak i straty w ludziach byłyby niepomierne większe a walka dłuższa i bardziej zaciekła.

Zanim poczęła się zarysowywać bardziej zwarta linja obrony i ataku — tworzyły się pewne punkty oporu, które dokoła Belwederu zakreśliły ogromny łuk, atakowany przez wojska marszałka Piłsudskiego. Ostra utarczka na pl. Trzech Krzyży, w której znów padło szereg osób cywilnych z pośród spacerującej swobodnie publiczności (środa godz. 9.30 wieczór) — zadecydowała o głównej osi ataku, którą stały się przepiękne Aleje Ujazdowskie, od tej chwili zamknięte dla wszelkiego ruchu i zorane strzelaniną aż do chwili zajęcia Belwederu. Jednocześnie na rogach i skrzyżowaniach ulic, wiodących ku Alejom, zaczęły się okopywać placówki z jednej i z drugiej strony a więc na rogu Kruczej i Pięknej, Koszykowej i Mokotowskiej, Nowowiejskiej i pl. Zbawiciela a wreszcie ku Polnej w stronę pola Mokotowskiego, lotniska i hangarów aż ku filtrom i rogatece Jerozolimskiej.

W ten sposób po stronie rządowej zostało bardzo niewiele ulic zamieszkanymi, w przeważnej zaś części były parki, ogrody i olbrzymi szmat pól mokotowskich, na których to terenach tonęły pociski artylerji, nie wyrządzając większej szkody. Inaczej z drugiej strony, gdyż wszystkie strzały, wyrzucone z linii belwederskiej, kierowały się ku miastu a tem samem ściągały większe straty w ludziach i materjale.

Był to jednak prosty zbieg okoliczności. Nie można z tego powodu czynić jakichś zarzutów dowódcom wojsk rządowych, jakoby celowo i usilnie chcieli zniszczyć miasto i steroryzować ludność cywilną. Wręcz przeciwne były w Belwederze tendencje, ażeby oszczędzać o ile możności stolicę; ale trudno — gdy raz się poszło na straszną w swych skutkach walkę w mieście, nie można się było cofnąć i trzeba było ponieść całą za następstwa odpowiedzialność.

W ten sposób rozwijać się poczęła regularna bitwa a grzechot karabinów maszynowych przez całą noc niepokoił stolicę, zapowiadając dalsze jeszcze i bardziej krwawe walki.

Pertraktacje i przygotowania bojowe.

W tym całym okresie walących się jedno po drugim wydarzeń — brakło ośrodka politycznego i informacyjnego, który z jednej strony mógłby odegrać rolę tak potrzebnego pośrednika między walczącymi stronami a z drugiej — mógłby powiedzieć szerokim, zgłodniałym wiadomości tłumom — istotną i całą prawdę.

Sejm był w rozsypce; garstka posłów i dziennikarzy gorączkowo rozprawiała w kuluarach, nie zawsze zresztą dobrze zorientowana. Na prowincję szły też wciąż depesze i telefony, pełne wiadomości sprzecznych, które powiększyły tylko zamęt. Gmach Prezydjum Rady Ministrów stał ciemny i niemy; wszystkie ministerstwa na głucho zamknięte.

Powstały dwa ośrodki, żyjące odrębnem zupełnie życiem: Belweder i Komenda Miasta; dotrzeć do nich było trudno — wiadomości więc wszelkie podawane „ze źródła“ były mętne i przejawskrawione.

Dopiero około godz. 1-szej w nocy zawezwano do Komendy Miasta, wrzącej od wojskowego ruchu, przedstawiciele prasy. Sztab i otoczenie Marszałka udzielało pierwszych wyjaśnień; zaczynała się już organizować „Kwatera prasowa“, która pracowała bez przerwy dwa dni następne. Wówczas to Pił-

sudski złożył dziennikarzom następujące oświadczenie:

„Nie mogę długo mówić, jestem bardzo zmęczony zarówno fizycznie, jak moralnie, gdyż będąc przeciwnikiem gwałtu, czego dowiodłem podczas sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, zdobyłem się po ciężkiej walce z samym sobą na próbę siły z wszystkimi konsekwencjami.

Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowie imponderabilia: jak honor, cnota, męstwo i wogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie o korzyści własne, czy swego najbliższego otoczenia.

Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co pracę swą dla innych dają; nie może być w państwie — gdy nie chce ono iść ku zgubie — za dużo nieprawości“.

Marszałek istotnie czynił wrażenie człowieka zmęczonego i siłą opanowywał zdenerwowanie. Widno było, że dla człowieka, przyzwyczajonego od kilku lat do spokojnego trybu życia — wstrząśnienie to było ciężkie, wprost groźne; w najbliższym otoczeniu szeptano o złym stanie zdrowia Marszałka, o jego chorobie sercowej... Mimo to usiłował zachować równowagę a nawet humor, palił wciąż papierosy.

Późną nocą dowiedziano się wreszcie o wyni-

kach pertraktacji między Komendą Miasta a Belwederem.

O godz. 12 w nocy Marszałek Sejmu p. Rataj, zwrócił się do posła Kościałkowskiego (Klub Pracy) o ułatwienie mu widzenia się z Marszałkiem Piłsudskim.

Poseł Kościałkowski wyraził gotowość pośrednictwa, przyczem wskazał na konieczność posiadania glejtu na wolny przejazd. Po otrzymaniu glejtu z Belwederu Marszałek Rataj, w towarzystwie posła Kościałkowskiego udał się do Komendy Miasta.

Rozmowa trwała dość długo, przyczem podobno Marszałek Piłsudski zażądał absolutnie ustąpienia rządu p. Witosa; w przeciwnym razie miał zamiar kontynuować walkę do skutku. Oświadczył przytem, że osoba Prezydenta Rzeczypospolitej jest poza sferą tych walk jak i pertraktacji i że o przesileniu państwowem nie ma mowy. Swą akcję zbrojną nazywał Marszałek Piłsudski nie „rewolucją“ lecz „demonstracją wojskową“...

Po godz. 1-szej w nocy Marszałek Rataj udał się z kolei do Belwederu. Tutaj jednak spotkał się ze strony Prezydenta z podobną stanowczością; zamach stanu nazywał on z naciskiem „buntem“ i o ustąpieniu rządu przez siebie powołanego, nie chciał słyszeć.

W ten sposób pertraktacje poszły na niwecz i rysowała się smutna perspektywa dalszej walki. Marszałek Rataj powrócił przygnębiony do mieszkania swego w Sejmie; nagabywającym go natarczywie dziennikarzom oświadczył, że nic nie ma do powiedzenia.

Tymczasem oba sztaby bojowe pracowały gorączkowo. Główną komendę wojsk marszałkowskich przeniesiono z koszar 36 pp. do Komendy Miasta; Kierownictwo taktyczne akcji objął gen. Burghardt-Bukacki jako szef sztabu; dotychczas zresztą trzymał się on z dala od akcji, nie było go w Rembertowie ani na Pradze — urzędował spokojnie w gmachu Sztabu Generalnego, utrzymując oczywiście najżywszy kontakt z otoczeniem Marszałka. Komendantem miasta został gen. Orlicz-Dreszer, który przed kilkoma jeszcze godzinami miał być przez dawnego komendanta gen. Suszyńskiego aresztowany... Dla odmiany aresztowano teraz gen. Suszyńskiego.

Podobnie w Belwederze rozpoczęły się narady, które trwały całą noc bez przerwy. Nominalne kierownictwo obrony mieli gen. Malczewski, jako Min. Spraw Wojskowych i gen. Haller jako Szef sztabu; gen. Rozwadowski został mianowany gubernatorem Warszawy i bezpośrednim dowódcą walczących wojsk. Wojna zaczynała się na dobre.

Noc wśród strzałów.

Warszawa przyglądała się rozgrywającym się walkom z jakąś dziwną niefrasobliwością i zdumieniem. „Wojna, czy kino“ — jak słusznie ktoś później napisał. Dlatego mimo nocy, dość przejmującego deszczu i niewątpliwej groźby utraty życia — na ulicach gromadzili się ludzie, którzy usiłowali podsunąć się jak najbliżej do pozycji bojowej i na swe sposoby komentowali sytuację.

Całej prawdy dowiedziano się właściwie dopiero na drugi dzień — z gazet; gubiono się więc w domysłach i horoskopach; rozpoczynały się dyskusje i starcia słowne; jedni stawiali bez zastrzeżeń przy Marszałku — inni bronili powagi rządu i boleli nad złamaniem prestigu Rzeczypospolitej. Wśród tłumów ulicznych zatrzymywali się ludzie nawet nieznanymi i wszczynali rozmowy. Zaczęło się już oczywiście podsłuchiwanie, donosy i doraźne protesty.

Tymczasem na linii bojowej zrywała się raz po raz strzelanina, to słabsza to bardziej ożywiona; z pl. Trzech Krzyży łomotały karabiny maszynowe. Wszystkie ulice na terenie działań bojowych leżały w grubym zmroku; latarnie nieświecone lub już potrzaskane, okna szczelnie pozamykane. Na Mokotowskiej tylko wychyla się z okna jakiś stary pułkownik i pyta,

co to właściwie się dzieje? „Strzelają panie pułkowniku“ powiada z uśmiechem jeden z cywilnych towarzyszy wycieczki. „Dobrze — ale dlaczego, o co?“... „Żeby to można wiedzieć — rewolucja!“...

Około godz. 3-ciej nad ranem udało mi się dotrzeć do placówki u zbiegu ulicy Pięknej i Aleji Ujazdowskiej, dziwnem zarządzeniem losu umocnionej pod pałacykiem dawnego Kwatermistrzostwa Wojsk Polskich z 1831 roku, pod pałacykiem, w którym ongiś urzędował gen. Prądzyński...

Smutne refleksje... a tem smutniejsze, że zastałem tam oddział 22 pułku, który w czasie wojny bolszewickiej tak świetnie zebrał laury i jeden z pierwszych sztandar swój ozdobił krzyżem *Virtuti Militari*.

Młodzi żołnierze, którzy pierwszy raz przeżywali „wojnę“, pracowali sprawnie i spokojnie, jakby na manewrach. Wyrzucono płyty chodnika, wykopano dość płytki ale dostateczny dla ochrony przed strzałami rów, w którym grały na przemian dwa karabiny maszynowe, waląc w stronę modnej cukierni letniej „Łobzowianka“, gdzie okopała się podchorążówka. Za załomem muru w ulicy Pięknej stała rezerwa, skrzynki z nabojami i ambulans, rozporządzający kilkoma zarekwirowanymi samochodami.

Od czasu do czasu przynoszono rannych (o zabitych słyszeliśmy tylko, że leżą gdzieś w Alejach,

w miejscach niedostępnych); cała trudność była w tem, jak ich przewieść przez linię obstrzału do szpitala, leżącego po drugiej stronie Aleji. Dzielny szofer z zajętej przez wojsko „taxi“ puszczał się jednak całym pędem i wśród ognia docierał do szpitala.

Tych dzielnych, nieznanych z nazwiska ludzi było sporo; pewno nikt ich krzyżem lub pochwałą nie nagrodzi...

Organizacja bojowa i postawa żołnierzy wyglądała jak najlepiej. Nie zdawali sobie oni jednak sprawy, o co właściwie idzie; wiedzieli, że wezwali ich do Warszawy „Dziadek“, który był dla nich jakąś postacią mityczną i autorytelem bezapelacyjnym. Powiedziano im, że mają strzelać — więc strzelają. Słyszeli też coś niecoś o jakichś złodziejach, którzy rozkradają Polskę i o wrogach marszałka. Ale na tem kończyło się ich uświadomienie o celach i zadaniach tej „wojny“.

Podobne placówki zwiedzaliśmy w innych też punktach i na skrzyżowaniach ulic. Wszędzie ta sama sprawność, zupełny spokój wśród ognia a nadto niezwykła i z góry im nakazana uprzejmość wobec ludności cywilnej.

Nad ranem ogień nieco osłabł, jakby w zmęczeniu po bezsennej nocy a z parku Ujazdowskiego dolatywał nieśmiały szczebiot ptaków, jakby przera-

żonych tą niezwykłą o świcie muzyką. W tej chwili z gmachu poselstwa duńskiego na rogu ulicy Pięknej i Aleji wywieszono olbrzymi sztandar Królestwa Duńskiego; wkrótce potem zobaczyliśmy flagę na poselstwie angielskiem; na ambasadzie francuskiej dawno już powiewał sztandar Republiki.

W dzień potem wszystkie te godła państwowe podarły kule niemal w strzępy...

III. Dzień Wniebowstąpienia.

Walki poranne.

Od wczesnego ranka tłumy wyległy na ulice; ruch był wzmożony, ukazały się nawet tramwaje, które jednak rychło wycofano; drobny handel uliczny kwitł, jak nigdy i co najważniejsze, bez ograniczeń. Pamiętajmy przytem, że olbrzymia połać miasta była zupełnie spokojna, wszystkie dzielnice od pl. Saskiego i Zamku na zachód i północ a więc Żelazna Brama, Czyste, Wola, Powązki, Muranów, Stare Miasto a wreszcie i Praga, nie zaznały przyjemności wojennych; dlatego też ścigały stamtąd całe pielgrzymki, ażeby oglądnąć tę dziwną a interesującą wojnę.

Z oddziałami wojskowymi nawiązano rychło stosunki przyjazne i ożywione — każda placówka otoczona była widzami; z ułanami 7 p., którzy obsadzili dworzec wiedeński, toczyły się długie i wesołe rozmowy. Miasto przybierało zwolna wygląd obozu wojskowego, do którego dziwnym trafem i bezkarnie wkraść się niezliczony tłum cywilów.

Jednocześnie jednak władze cywilne urzędowały zwykłym trybem. Policja w myśl otrzymanych rozkazów pełniła dyskretnie zwykłą swą powinność, utrzymując jaki taki porządek; zdawało się przytem, że nie chce ona w niczem przeszkadzać działaniom wojskowym i traktuje je jak zwyczajną jakąś publiczną zabawę. Komisarjat rządu też nie wyszedł z równowagi a w myśl dawnych instrukcji, skonfiskował pisma lewicowe, które entuzjastyczne powitały rewoltę wojskową — a przepuścił najbardziej groźne i opozycyjne ataki pism prawicowych...

Sytuacja bojowa zaczęła się nieco gmatwać. W środę wieczorem przewaga liczebna, rozmach i sprawność wojsk — były niewątpliwie po stronie Marszałka Piłsudskiego — w czwartek rano przybył jednak sukurs poważny dla rządu t. j. 10 pułk piech. z Łowicza i grupa wojsk poznańskich (pułki 57 i 58) pod dowództwem gen. Kędzierskiego. Wojska te wezwano poprzedniego dnia rano; przybyły więc stosunkowo szybko. Niedługo potem przybył też z Ostrowa pułk 71. pod komendą znakomitego żołnierza pułk. Boruty Spiechowicza; wylądował się na wschodnim brzegu Wisły koło Ząbek (dojazd kolejowy do samej Warszawy był już niemożliwy a zresztą wobec obsadzenia dworców—bezcelowy) i miał zamiar przenieść się do Belwederu. Niepodobna było jednak skomunikować

się ze sztabem wojsk rządowych, tak, że śmiały plan dywersji ze strony Pragi spełził na niczem. Pozbawiony wszelkich dyrektyw pułk. Boruta podsuwał się ostrożnie pod Pragę, gdzie jednak w okolicach Brudna spotkał się z oddziałami 36 pp. i ucierpiał silnie wśród strzelaniny. Zaczęto pertraktacje i wreszcie — jak opowiadano, pod ogniem karabinów maszynowych 71 pp. zdeklarował swą neutralność i wycofał się z terenu walki.

W ten sposób rząd odcięty w Belwederze a wciąż wyczekujący poważniejszych sił wysłanych z prowincji utracił ważną jednostkę, która mogła wielce zaważyć na szali bojowej. Ilościowo silniejszy był wciąż Marsz. Piłsudski, który otrzymał w ciągu ranka (13-go) pomoc oddziałów z Łomży, Ciechanowa i Zegrza; miał przytem silną artylerję, oddziały samochodów pancernych a w dzień później wreszcie dwa tanki, które w ostatnich atakach na Belweder poważną odegrały rolę. Po stronie rządowej samochodów pancernych (w walce ulicznej czynnik niezwykle sprawny i groźny) nie było, artylerja zaś bardzo nikła — natomiast był 3-ci pułk lotniczy, który pod dowództwem gen. Zagórskiego mógł siał nieprawdopodobne spustoszenia w mieście.

Na szczęście do tego nie doszło; mimo prawdopodobnych rozkazów ostrzeliwania oddziałów i punk-

tów wojskowych w mieście — walka bombowa nie rozszerzyła się groźniej. W czwartek rano padła jedna bomba na Nowym Zjeździe i zabiła jednego żyda i cztery konie, ale wycelowaną była istotnie na most Kierbedzia dla przerwania komunikacji wojskowej. Prócz tego rzucono parę bomb koło filtrów obok rogatek jerozolimskich — oraz usiłowano większymi ładunkami materiałów wybuchowych zniszczyć dojazdy kolejowe do Warszawy; działało się to jednak daleko za miastem i strat w ludziach nie było. Tak np. uszkodzono poważnie nasyp i tor kolejowy drogi wileńskiej pod Łapami dla opóźnienia transportu wojsk z Wilna, które były sygnalizowane poprzedniego jeszcze dnia w sztabie Marszałka. Wiadomości jednak o „barbarzyńskim“ ostrzeliwaniu miasta z aeroplanów, o bezwzględnych rozkazach gen. Zagórskiego — były tendencyjnie przejawione. Obiektywnie przyznać wypada, że więcej bezwzględności a nawet — jak później zobaczymy — okrucieństwa było po stronie wojsk marszałkowskich i ich zbyt gorących kombatanów.

Od rana bowiem ukazały się wezwania do ludności cywilnej, ażeby zgłaszała się do służby wojskowej. Chciano w ten sposób powiększyć szeregi armji przeciw-rządowej a nadto wybić na całym ruchu piętno spontanicznej rewolucji ogólnej. Przed komendą

Miasta istotnie też gromadziły się poważne zastępy ochotników, które zaopatrywano w broń i formowano w oddziały, przydzielone później do walczących jednostek wojskowych. Nie był to jednak pomysł najlepszy; z natury rzeczy bowiem zgłaszały się rozmaite szumowiny miejskie, bezrobotni i niechętni do wszelkiej pracy, którzy z karabinem w ręku chcieli się „odkuć“ i ostrzyli zęby na bogate magazyny sklepowe, więcej niż na „rządowców“; prócz tego garstka istotnie ideowej młodzieży i bojówki robotnicze reprezentowały materiał bardziej karny i nie dopuszczający się ekscesów.

Okolo południa strzelanina wciąż przybierała na sile; tłumy widzów z pośpiechem wycofywały się z dzielnicy „wojennej“ ku środkowi miasta. Wiadac było jakiś ruch niepokojący i szybkie krążenie aut wojskowych. Zaczynała się wielka bitwa, która srogością swą i zniszczeniem o wiele miała przeróść potyczki dotychczasowe.

Ofenzywa helwederska.

Wiadomość o wzmocnieniu wojsk rządowych rozeszła się w mieście lotem błyskawicy, budząc niepokój u jednych, otuchę i zadowolenie u drugich.

„A co, nie mówiłem — słyszało się w południe w cukierni Semadeniego — zobaczcie jeszcze pa-

nowie, że do wieczora tu stanie kilka nowych pułków“! — „Niech się tylko Poznań ruszy“ — dodał ktoś z boku. „Ho-ho! Gdzie pieprz rośnie pojedą buntownicy!“

Oczywiście u Semadeniego gromadzą się elementy bardziej konserwatywne i zgoła „burżujskie“; u Loursa zdania były już podzielone a cóż dopiero w „Astorji“, gdzie był punkt zborny peowiaków i najgorętszych piłsudczyków. W tym czasie mimo rosnącej wciąż kanonady lokale jeszcze były otwarte i pełne gości. W parę godzin potem na gwałt ściągano rolety i zasłaniano okna.

Założenie bojowe sztabu rządowego było bardzo proste; korzystając z wydatnego zasilenia wojsk zdecydowano natarcie generalne, które miało wypchnąć wojska Marszałka za Wisłę, a temsamem zdecydować o losach jego akcji.

Z łuku linii bojowej, otaczającej Belweder, skierowano główne uderzenie od placu Zbawiciela w ulicę Marszałkowską, z Aleji Ujazdowskich na pl. Trzech Krzyży i Mokotowskiej na Kruczą i Aleje Jerozolimskie. Trzema więc falami szło to czołowe natarcie, w założeniu już błędne, gdyż frontowy atak wśród kamienic i krzyżujących się ulic mało miał szans powodzenia i pociągnął za sobą olbrzymie straty. Jak później się przekonano, raczej należało

uderzyć dywersją od strony Powiśla lub rogatek jerozolimskich, co niewątpliwie pociągnęłoby za sobą gwałtowne wycofanie wojsk marszałkowskich, lecz co prawda bitwę przeniosłoby w samo centrum miasta. Na obejście napastnika od strony Pragi nie miały wojska rządowe dość siły, stojącego zaś tam 71 pp. wskutek braku połączenia nie umiano wyzyskać należycie.

Była to już formalna bitwa, zdobywanie piędź po piędzi ulic i placów, zaciekle strzelanina z załómów ulic i szybko kopanych rowów. Uderzenie było niezwykle silne, gdyż w ciągu niecałych dwóch godzin front przesunął się o kilometr przeszło; karabiny maszynowe umieszczono już u wylotu Nowego Świata i Brackiej, koło dworca wiedeńskiego wznoszono wielką barykadę, wojska pędem wycofywały się ul. Marszałkowską i Kruczą; robiono zasieki na Brackiej i na pl. Napoleona. Armaty stały na ulicy Marszałkowskiej u wylotu Siennej i na Nowym Świecie na rogu Wareckiej koło popularnej kawiarni literackiej „Kresy“. Zaczęto nawet umacniać pewne punkty rezerwowe na ul. Królewskiej i w Saskim Ogrodzie dla ewentualnej obrony gmachu Sztabu i Komendy Miasta. Treny zaczęły się wolno wycofywać na Pragę.

Między godziną 4-tą a 7-mą przestrzeń między

Marszałkowską a Dworcem Głównym dwukrotnie przechodziła z rąk do rąk. Najbardziej ożywiona akcja toczyła się między 6 a 7 wiecz. Wówczas to wielkopolanie atakowali 22 pułk piechoty, zostali jednak przez wojska Piłsudskiego odparci. Poszczególne grupy utraciły łączność między sobą.

Były chwile, w których zdawało się, iż sprawa jest przesądzona, iż lada moment będzie zakazany odwrót generalny.

W sztabie Marszałka Piłsudskiego panowało też istotne podenerwowanie. Telefony nie milkły na chwilę; wciąż przychodziły meldunki o coraz późniejszej sytuacji; na wielkich planach miasta, które służyły jako mapy operacyjne — kreślono coraz to nowe zygzaki i linje, czerwona łamana kresa, oznaczająca front „nieprzyjacielski“ zbliżała się wciąż ku centrum... Było rzeczą jasną, że o ile nie nadejdą znaczniejsze posiłki — linja bojowa nie da się utrzymać; oddziały przemęczone i porane ciężkimi strzałami dobywały ostatnich sił.

Miasto w ogniu.

Miasto drżące od kanonady miało wygląd ponury. Niebo się przytem zaciągnęło chmurami, było ołowiane i smutne; ulewa wisiała w powietrzu.

Nie było już mowy o pochodach i śpiewach jak

dnia poprzedniego; przejście przez ulice wobec błakających się setek i tysięcy kul było niebezpieczne nawet w odleglejszych od placu boju punktach. Tam zaś było istne piekło; cała groza walki w mieście wyrosła w tym dniu przed zdumioną Warszawą. Niektóre ulice jak Krucza, Mokotowska, Koszykowa, Nowowiejska, Marszałkowska do Dworca Wiedeńskiego i szereg pomniejszych leżały pod bezustannym, zawziętym ostrzałem; były to prawdziwe ulice śmierci... Żołnierz krył się w naprędkie wykopanych rowach — ale bezbronny przechodzień, wygnany na ulice głupią ciekawością lub i rzetelną czasem potrzebą — był jak w potrzasku; przemykał załomami ulic, sunął na czworakach... Lecz i to nie pomagało, groziły zarówno kule rotowego ognia jak i niezliczone „rikoszety“, kule zbłąkane lub odbijające się o mury. Te to właśnie pociski budziły wrażenie strzelaniny z okien, wyzyskiwanej uporczywie i gołosłownie dla jakiejś tajemniczej propagandy; mówiono i pisano wciąż o faszystach i komunistach, gdy jedni i drudzy pokryli się w tych dniach w mysie dziury. Na ogół wypadki strzelania z okien były bardzo nieliczne, kto wie, czy na palcach obu rąk nie można by ich policzyć.

Represje natomiast były bardzo ostre; tak n. p. gdy powszechna fama okrzyczała, że z okien kamie-

nicy na rogu Marszałkowskiej i Złotej strzelają — sam byłem świadkiem, jak zmasakrowano najpierw gmach karabinami a potem wymierzono z odległości jakichś 200 kroków armatę i basta... Pozostał ku pamięci najbliższych dni spory wyłom na III piętrze, jako widomy symbol regimu wojennego.

Wśród ulewy morderczego ognia służba sanitarna była niezmiernie utrudniona. Patrole złożone z wojskowych i cywilnych docierały gdzie mogły — ale jeśli ktoś padł na zamkniętej głucho ulicy, skąd w żaden sposób nie było można wezwać pomocy? Tak zginął znakomity żołnierz pułk. Frank Wiszniewski ciężko ranny na ul. Koszykowej i przeniesiony do sąsiedniego domu, gdzie niestety nie było żadnego lekarza; po kilkugodzinnych męczarniach, gdy w żaden sposób nie można było dotrzeć tam z pomocą — zmarł z upływu krwi. Podobnych wypadków było sporo.

Krakowskie Przedmieście jako tako jeszcze zabezpieczone przed strzelaniną — było w tych godzinach pulsem Warszawy, nie walczącej, a tylko oczekującej rozstrzygnięcia. Zebrały się tam tłumy ponure i milczące; w ul. Ossolińskich (dawna Czysta) i w hallu hotelu Bristol zwarte grupy widzów i słuchaczy gorąco omawiały sytuację; od czasu do czasu zjawiał się ktoś w „Kwaterze prasowej“, informacje

na ogół były skąpe, mętne i pełne zdeherwowania. Więcej mówiły nieme, ledwo na nogach trzymające się gromadki żołnierzy i raz wraz walące auta sanitarne, przeładowane rannymi...

Około godz. 6-tej mówiono już powszechnie, że wojska marszałkowskie przygotowują się do odwrotu. O 6:50 samochód Marszałka Piłsudskiego, szczelnie zasłonięty firankami, wyjechał na Pragę; w tłumie zapanowało poruszenie; uważano, że to początek cofania się, że rychło też wyjedzie cały sztab. Przyczyna była inna; oto na dworzec wschodni przybyły pierwsze oddziały z Wilna pod dowództwem gen. Dąb-Biernackiego, a Marszałek wyjechał witać swe najwierniejsze pułki. Gdy kilka tych bataljonów w pięknym szyku paradnym zjawilo się na Krakowkiem Przedmieściu, witała je cisza. Słabe tylko i pojedyncze podniosły się okrzyki, brakło entuzjazmu z chwilą, gdy walka z widowiska zmieniała się w krwawą batalję...

Posiłki te zadecydowały o wyniku walki, zmieniając zmęczone oddziały na trudnych placówkach. Około godz. 8-mej ogień zwolna słabł, wojska rządowe cofały się z powrotem na dawną linię obronną.

W tym samym mniej więcej czasie ukazały się wiadomości o mianowaniu nowego Komisarza Rządu na m. Warszawę (rzecz od dawna spodziewana wo-

bec „politycznego“ oporu p. Tłuchowskiego) i — co ciekawsze — o mianowaniu p. Knolla na „Komisarza Spraw Zagranicznych“; nazwisko to powtarzano z sympatją ale sam tytuł był rażący, przypomniiał rewolucję i drażnił nawet sympatyków zamachu. Był to prócz tego prognostyk, że sztab Marszałka Piłsudskiego liczy się z możliwością przeciągnięcia się na dłuższą metę stanu wojennego i chce na ten czas zapewnić możliwe funkcjonowanie najważniejszych resortów. W nocy mówiono nawet o mianowaniu całego rządu „tymczasowego“ z tytułami „komisarzy“. Tymczasem Marszałek Piłsudski zyskał pomoc walną, która zadecydowała ostatecznie o losach walki.

Strajk generalny.

Wśród strzałów i zamętu wojennego życie polityczne stolicy zamarło. W środę wieczorem usiłowano jeszcze w kuluarach radzić o sytuacji i klecić jakieś konwentykle — ale rychło Sejm znalazł się na linii bojowej, zerwały się połączenia telefoniczne, posłowie i dziennikarze chyłkiem i grupkami wymykali się do miasta. Najwybitniejszy działacz polityczny w tej sytuacji stawał się bezradnym i zdenerwowanym widzem, jak szary tłum uliczny...

Posłowie pravicowi rozpierzchli się i podobno gdzieś obradowali w mieście, ale byli na ogół za-

skoczeni niespodziewanymi wypadkami i obawiali się aresztowań i represji (jak zapewniano, wyszła jednak instrukcja, podobno z ust samego Marszałka, zakazująca wszelkich aresztowań partyjnych; mimo to nie obeszło się bez drobnych porachunków osobistych). Działacze lewicowi, podobnie zresztą, jak i przyjazna Piłsudskiemu prasa — zgłosili się do dyspozycji w Komendzie Miasta. Widzieliśmy tam przez cały ciąg trwania akcji bojowej, szereg wybitnych polityków i publicystów.

Decydującem jednak było stanowisko PPS. jako głównej przedstawicielki rzesz robotniczych — dlatego też w stronę OKR. w Alejach Jerozolimskich i redakcji „Robotnika“ na ul. Wareckiej kierowały się oczy wszystkich. Zdania w partji były podzielone, w środę już wieczorem doszło do bardzo burzliwych obrad, w których część posłów oświadczyła się przeciwko zamachowi wojskowemu i nie chciała mu udzielić poparcia. Głos tych „pacyfistów“ był jednak za słaby. Marszałek Piłsudski miał zdawna w PPS. ludzi bezwzględnie sobie oddanych i słuchających ślepo jego poleceń, a nadto nastrój ulicy i odpowiednie hasła, chętnie tam przyjęte, nie pozwalały na cofnięcie.

W czwartek rano więc, po długich obradach i dyskusjach zdecydowano się rzucić na szalę wy-

padków największe hasło i broń, jaką PPS. rozporządza, t. j. proklamację strajku generalnego.

Odezwa ta uderzała w tony wysokiej demagogii i miała porwać szerokie masy:

„Ludu Warszawy!

Pomimo protestów wszystkich uczciwych ludzi w Polsce, rząd Witosa, kata ludu krakowskiego, rząd reakcji i rabusiów skarbu państwa, rząd wyzysku mas pracujących znowu ośmielił się sięgnąć po władzę...

Rząd Witosa, rząd skąpany we krwi żołnierzy polskich musi upaść. Wojska prowadzone przez Józefa Piłsudskiego, wierne Demokracji i Republice Polskiej muszą zwyciężyć! Lud polski winien poprzeć zbiorowym wysiłkiem walkę swych braci żołnierzy. Wobec tego Warszawski Okręgowy Komitet Robotniczy P. P. S. wzywa Was Towarzysze do strajku powszechnego od dn. 14 b. m. aż do odwołania. Niech strajk ten będzie potężną imponującą manifestacją Warszawy robotniczej! Niech będzie protestem przeciwko Wojciechowskiemu, który zdradził demokrację polską, stanął po stronie reakcji i zagrzewa do walki z wojskami Józefa Piłsudskiego.

Niech strajk ten będzie grobem, w który zawali się rząd Witosa — rząd prowokatorski, rząd który na nędzy inwalidów, wdów, sierot i bezrobotnych chce „sanować“ Polskę“.

Oczywiście strajk ten miał swe ograniczone i aktualne cele, a zmierzał przede wszystkim do zatrzymania ruchu kolejowego na zachód od Warszawy, by w ten sposób uniemożliwić przyjazd jakichkolwiek wojsk dla obrony Prezydenta i rządu. W tym też zakresie powiódł się znakomicie; w Łodzi zatrzymano dalsze pułki poznańskie, ciągnące na Warszawę i opóźniono ich przybycie o dzień cały.

W Warszawie proklamacja ta była tylko usankcjonowaniem istniejącego stanu rzeczy; i tak przecie od dwóch dni było wielkie rewolucyjne święto i wszystkie warstwy przemysłowe stały... Na wschód od Wisły zaś strajk wogóle nie był potrzebny. Opowiadał mi pewien ziemianin, jadący w piątek rano z prowincji do Warszawy, że gdy zapytał konduktora, jak wygląda u nich strajk generalny — ten odpowiedział z uśmiechem: „A pocóż nam po tej stronie Wisły strajku ?...“

Słusznie też mówiono później, że Belweder zdobyła właściwie P. P. S. a nie wojska Marszałka Piłsudskiego...

Tego samego wieczoru podano do wiadomości przedstawicielei prasy oświadczenie oficjalne, w którym znajdowały się następujące, znamienne ustępy:

„Marszałek Piłsudski, wyruszając z Rembertowa na czele oddanych sobie oddziałów wojskowych w kie-

runku stolicy, miał na celu zmanifestowanie swego protestu przeciwko świeżo utworzonemu rządowi Witosy, który Marszałek Piłsudski uważa za rząd nieprawości.

Od pierwszych kroków akcji — jak podkreślono z naciskiem — Marszałek Piłsudski chciał za wszelką cenę uniknąć nie tylko rozlewu krwi, ale nawet wymiany strzałów.

Pierwsze strzały padły na rozkaz gen. Rozwadowskiego ze strony wojsk stojących przy rządzie...

Wojska Marszałka Piłsudskiego — ostro zaatakowane przez oddziały stojące przy rządzie i skupiające się koło Belwederu — były zmuszone przyjąć walkę, która niestety trwa prawie bez przerwy do chwili obecnej“.

III. Ostatni dzień walki.

Publiczność i prasa.

Po cichej nocy, wśród której zrzadka tylko i jakby zaspane odzywały się strzały — zbudził się słoneczny, piękny dzień wiosenny. Ludziska, składając wszystko na fatalną 13-kę obiecywali sobie, że teraz przyjdzie już jakiś koniec; ale co prawda zaczęło się odczuwać przygnębienie i zwyczajny wojenny niepokój. Na targu i w sklepach powoli brakowało żywności; gdzieindziej chowano ją na „gorsze czasy“. Odezwa gen. Składkowskiego, mianowanego Komisarzem Rządu, wprowadzała szereg rygorów (zakaz gromadzenia się, wczesne zamykanie lokali etc.), które miały wszelki posmak „stanu oblężenia“; ci sami zaś, którzy narażali się z ciekawości na śmierć i rany — szemrali przeciwko drobnym zresztą zarządzeniom, które jako tako miały zapewnić porządek w mieście. Zwracał przytem uwagę brak zakazu wydawania alkoholu, który to zakaz bardzoby się przydał...

Był to pierwszy dzień strajku generalnego;

z Woli, Czystego i Pragi ściągnęły tłumy robociarzy, chcąc zbliżyć się „awanturze“; dyskusje i komentarze były głośnie i dobitne.

Jak w każdym oblężonym lub walczącym mieście, tak i w Warszawie opinia publiczna wydana była na łup prasy, a prasa znów usiłowała odpowiedniemi naświetleniami wypadków urobić i przekonać dla swych celów publiczność.

Nic też dziwnego, że 4 lub 5 wydań nadzwyczajnych poszczególnych pism rozchwytano w okamgnieniu; nic dziwnego, że dyskutowano zawzięcie nad każdą wiadomością, którą dzienniki podały. Przedostawały się w ten sposób informacje najpotworniejsze; zmyślano jakieś krwiożercze rozkazy zniszczenia miasta, które podobno wydawać mieli znienawidzeni „rządowcy“, pisano, że Witos celowo chce krwią zalać Warszawę, a z prowincji znów drukowano wieści najbardziej fantastyczne. Tak np. jeden z wybitnych generałów, dowódców OK. — jak czytaliśmy w dodatkach jednego tylko pisma („Kurjer Poranny“) — najpierw wysłał wojska na pomoc rządowi, potem zgłosił swą uległość Piłsudskiemu, a wreszcie przybył na samolocie, ażeby objąć „naczelne dowództwo“ wojsk Prezydenta...

Prasa stołeczna wystawiła więc sobie świadectwo nie nadzwyczajne, jeśli idzie o prawdę, ale zna-

komite, gdy chodzi o pomysłowość. Nie było przytem kontroli wzajemnej i współzawodnictwa, gdyż opozycyjne pisma pravicowe po srogim debiucie w dniu 13. maja zawiesiły z musu wydawnictwa na dni parę, dwa organy neutralne ograniczyły się do obiektywnych, lecz stosunkowo skąpych wiadomości, a jeden wreszcie dziennik („Głos Codzienny“, organ NPR.) — zdobyto walecznie i zmuszono do słuchania rozkazów biura prasowego przy Komendzie Miasta.

Nic tedy dziwnego, że warszawiacy prócz słowa drukowanego pragnęli mieć także wiadomości i doświadczenie naoczne i cisnęli się tłumnie na ulicę. Była w tym gapiostwie lekkomyślność, zupełna niezajomość wojny, a dużo też brawurowej odwagi. Sam byłem świadkiem, jak w czwartek rano u zbiegu ulic Mokołowskiej i Kruczej wyniesiono z tłumy, który otaczał placówkę karabinów maszynowych, dwóch rannych — a mimo to tłum cały nie drgnął i pozostał na miejscu.

Gawiedź uliczna brała przytem żywy udział w akcji bojowej; każdy karabin maszynowy — a cóż dopiero armata! — otoczona była gronem „kombatantów“, których nie odpędziły żadne groźby. Każdy usiłował przytem dotknąć morderczej maszyny, każdy ile mógł, pomagał, naprzykrzał się i... przeszkadzał.

Żołnierze znosili to wszystko z cierpliwością wprost niewiarygodną.

To też gdy ogłoszono werbunek ochotników i zaczęto rozdawać karabiny, w komendzie miasta zgłosił się (prócz nielicznych i prawdziwych ideowców) tłum szumowin miejskich i kto wie, czem by to się skończyło, gdyby walka trwała dłużej.

Wszystkich tych przyjemności pozbawiona była ta drobna część miasta, która zrzędzeniem losu znalazła się po stronie rządowej. Było tam cicho i ponuro; ani prasy ani publiczności...

W Belwederze.

W samym pałacu Prezydenta mimo gorączkowej pracy i ruchu nastrojów od samego początku był przygnębiony i zdenerwowany. Z pewnością członkowie rządu, ich otoczenie i nadmierna ilość generałów, która tam zjechała — wszyscy nie przeczuwali, że wydarzenia tak szybkim potoczą się torem. Liczono na oddanie znacznej części wojska, spodziewano się co chwila posiłków z Poznania i Krakowa, ale mimo to widoki tej bratobójczej walki a choćby, i zwycięstwa nie budziły u nikogo entuzjazmu.

Przytem ani kuchnia ani pokoje gościnne nie były przygotowane na tak nagły i liczny najazd gości.

Wytworzyła się tedy atmosfera dla jednych jakiegoś nieznośnego więzienia — dla drugich (głównie młodszych) dziwnej wycieczki wakacyjnej.

Jadło się — jak opowiadają uczestnicy — nie najgorzej, ale bezładnie i trzeba było sobie samemu usługiwać; ku końcowi były też przypadki, że nieskromnie, choć delikatnie kradziono sobie ze stołu co lepsze porcje. Dość powiedzieć, że na całe dwie doby i taki tłum ludzi zjawiła się tylko jedna i to podstępem zdobyta flaszką wódki... Spał każdy, gdzie mógł i chciał, na pięknych kozetach i fotelach mahoniowych, na przyniesionych ze strychu obrzydliwych pryczach żelaznych, na ziemi nawet.

Kto znał wytworną schludność i poważny wykwint salonów belwederskich, niepomierne by się zdziwił na widok nieporządku, śmiecia, niedopałków i resztek jedzenia. Służba załamywała ręce, a naj-srożej martwił się stary kamerdyner en chef, który pamiętał carskich gubernatorów i przetrwał Beselera, strzegąc świetnej tradycji pałacu.

Członkowie rządu zachowali w tych ciężkich chwilach pełny spokój i powagę; nikt tylko nie zanotował żadnego z tych błyskawicznych, lecz jędrnych dowcipów, z których ongiś słynał p. Witos w Sejmie, brakło mu humoru. Pan Zdziechowski zachował ton i uśmiech *bon viveur'a*, jeden St. Grabski był zdener-

wowany i widocznie zgaszony. Prezydent Wojciechowski, jako gospodarz domu i jako głowa państwa, zachował pełny spokój a nawet gest powagi i dostojności; „to nie ten sam człowiek“ — szeptało wokoło. Wszystkie narady odbywały się pod jego przewodnictwem, wszystkie zarządzenia wojskowe przechodziły przez jego aprobatę.

Zwolna jednak nastrój stawał się przygnębiony i ciężki. W pierwszych godzinach rozruchu liczone na pewno na silną i szybką pomoc i niewątpliwe zlikwidowanie zamachu. Po nieudanej ofensywie czwartkowej sytuacja zaczęła się rysować w innych kolorach. Mniejsza to jeszcze, że kanonada była coraz mocniejsza, że przewaliło się sporo drzew w parku i trochę (choć niewiele) ucierpiał sam pałac; gorsza, że coraz trudniej było o utrzymanie połączenia telefonicznego z krajem; doszły wreszcie hiobowe wieści o nieudanej dywersji 71 pp. z Pragi i o upadku Cytadeli. To była pierwsza zapowiedź końca.

W Cytadeli.

Warowne gmachy Cytadeli były drugim bastjonom rządowym na północy Warszawy; liczone na nie w Belwederze, spoglądano nieufnie z miasta i sztabu Marszałka, czekając że rychło stamtąd wyjdzie atak.

W piątek rano było jednak powszechnie wiadomem, że Cytadela poddała się.

Stało się to na skutek żywej agitacji, którą rozwinięto wśród oficerów i żołnierzy 21 i 30 pp.; dołączyły się do niej rychło inne oddziały podległe (szoferzy, łączność, sanitariusze etc.) Powstał formalny spiszek, który uczynił życie w Cytadeli nieznosnym i niepewnym; poszczególni oficerowie spoglądali nieufnie na własnych oddanych podoficerów nie wiedząc ku jakiej skłaniają się „orientacji“.

Łączność telefoniczną utrzymano przez czas dłuższy w dość oryginalny sposób; oto Belweder posiadał osobny kabel telefoniczny do Prezydium Rady Ministrów, a ponieważ telefonistki tamtejsze były uprzejme i „wierne“ więc łączyły Cytadelę przez centralę ogólną; wkrótce jednak skontrolowano te rozmowy i przerwano. Później rzucano jeszcze rozkazy z aeroplanów; w ten sposób doszedł ostatni rozkaz gen. Rozwadowskiego (czwartek nad ranem) nakazujący atak na pałac Mostowskich i Komendę Miasta, koncentrycznie z innymi oddziałami rządowymi, które ruszą od Belwederu. Wkrótce jednak i to połączenie powietrzne zerwało się. Cytadela była zupełnie odcięta.

Tymczasem kompanja rekrucka, 30 pp. porwawszy dwa karabiny maszynowe, uciekła na stronę 21 pp.;

żądania pułk. Modelskiego domagającego się zwrotu kompanji, nietylko nie odniosły skutku, lecz jeszcze do tegoż 21 p. przeszła szkoła szoferów i auta pancerne; dalej z wałów cytadeli zeszyły oddziały 21 pp. i reszta szkoły szoferów, wobec czego na wałach pozostały tylko oddziały 30 pp.

Rozpoczęto pertraktacje o zachowanie jakiegoś „modus vivendi“ i zapewnienie bezpieczeństwa rodzinom zamieszkałym na Cytadeli. Ale nie dały one poważniejszego skutku. Wreszcie przybył gen. Burckhardt-Bukacki, kazał internować pułk. Modelskiego a dowódctwo 30 pp. powierzył ppłk. Dahlenowi. W ten sposób zlikwidowano wszelkie próby oporu, a Cytadela bez wystrzału (na szczęście) zakończyła swą rolę w dniach walki.

Generalne natarcie.

Około godz. 11-tej przed południem przygotowania do generalnej rozprawy były ukończone. Dość liczne i sprawne oddziały sanitarne zorganizowane przez Polski Czerwony Krzyż, przy samorzutnej i ofiarnej pomocy lekarzy i ludności cywilnej — stały na wyznaczonych posterunkach. Na Nowym Świecie tłumy publiczności podziwiały dwa smoki stalowe — tanki, które przybyły z Modlina.

ogień wzrastał z każdą chwilą. Nie było zresztą czasu do stracenia, gdyż wiadomo już było w sztabie Marszałka, że odsiecz poznańska, która dojechała koleją do Skierniewic — podąży forsownym marszem na Warszawę. Było to — jeśli nie zdecydowanie wyniku walk, to w każdym razie ich przedłużenie na czas dłuższy. Stolica próby tej nie wytrzymałaby...

Okolo południa Marszałek Piłsudski dla sprawdzenia gotowości oddziałów i podniesienia ducha zwiedził osobiście ważniejsze odcinki frontu. Jednocześnie Prezydent Wojciechowski w otoczeniu generalicji obchodził swoją linię bojową. Ponura tragikomedja bratobójczej wojny...

Niedługo potem zagrzmiały działa i podniósł się nieustający już ani na chwilę turkot karabinów maszynowych, dając znać miastu, że walka rozpoczęła się. Atak zmierzał koncentrycznie na Belweder. Od strony Wisły więc i Czerniakowa parto na Łazienki, w których broniły się oddziały poznańskie; z ogrodów Lubomirskich („Frascati“) przez park sejmowy uderzono na szpital Ujazdowski, w którym od poprzedniego dnia trzymały się mocno oddziały rządowe.

Rozegrała się przytem scena ciekawa w chwili zajęcia Sejmu, który dotąd utrzymał jeszcze swą neutralność; do wkraczających oddziałów wyszedł komendant „Straży marszałkowskiej“ i zapytał dowodzą-

cego oficera, czy wie o tem, że teren Sejmu jest według brzmienia Konstytucji nienaruszalny?.. Oficer odpowiedział, że wydano mu już odpowiednie polecenie i że gmach sejmowy będzie uszanowany, tylko na terenie ogrodu rozlokowani będą żołnierze.

Gdy długim pasmem ogrodów przedzierano się w stronę „Łobzowianki“, gdzie obwarowała się w mocnej reducie szkoła podchorążych i ku Belwederowi — najgorętsze walki rozegrały się o zdobycie lotniska wojskowego na Mokotowie. Był to drugi krańcowy punkt wielkiego łuku bojowego, broniony zaciekle przez lotników, 1-szy pułk artylerji przeciwlotniczej i stu kilkudziesięciu ochotników, rekrutujących się przeważnie z pośród młodzieży akademickiej; obroną tą dowodził osobiście gen. Zagórski. Z jednej i drugiej strony wykazano tu wiele brawury i zaciekłości, ze strony wojsk marszałkowskich, wspomaganych przez cywilne bojówki nawet.. haniebnego okrucieństwa. Zaciekłość walk odpowiednio wyraziła się w zniszczeniu materjalnem; nie oszczędzono bowiem niestety tak pięknie zagospodarowanego lotniska, spłonęły kosztowne stocznie, hangary i dziesiątki aparatów. Straty poszły w miliony złotych, choć nikt nigdzie o tem nie wspomniał. Sąsiednia też dzielnica miasta ucierpiała srodze: szkoła sztabu generalnego,

gmach inżynierji wojskowej i świeżo zbudowaną kolonię Staszica nadwerężyły mocno kule działowe.

Około 2-giej lotnisko było wreszcie zdobyte; niedługo przedtem po zaciętej walce zajęto gmach Ministerstwa Spraw Wojskowych na ul. Nowowiejskiej. Wojska rządowe cofały się spieszenie na ostatnią linię obrony — pod sam pałac Prezydenta.

Na Belweder!

Wszystkie te wiadomości lotem błyskawicy rozchodziły się po mieście; przynosiły je drukowane co pół godziny dodatki nadzwyczajne, podawał sobie z ust do ust rozhukany tłum, prąc mimo strzelaniny coraz bliżej linii bojowej, na Pl. Trzech Krzyży, na Pl. Zbawiciela, w Aleje Ujazdowskie wreszcie...

I słyszało się wówczas — rzecz niewiarygodna i smutna — że krzyczano „Na Belweder!“ — jakby to było siedlisko jakiegoś największego wroga, a nie symbol najwyższej władzy, który przecie do tej godności podniósł sam Marszałek Piłsudski...

Podchorążacy po pięknym boju, który z uznaniem i podziwem wynosili nawet ich przeciwnicy cofnęli się pod sam pałac; jednocześnie na pl. Unji Lubelskiej i Bagateli cofnęły się zdziesiątkowane oddziały z lotniska; był to ostatni nikły łuk frontu, który miał

zapewnić Prezydentowi i jego otoczeniu możliwość wycofania się poza Warszawę.

W samym Belwederze wiedziano już od dłuższego czasu, że sytuacja bojowa układa się beznadziejnie, ufano jednak do ostatniej chwili w nadejście posiłków, które walczyły przeciw tęgim marszem od Skierniewic, oczekiwano jakiegoś załamania się ataku... O godz. 3'30 przyszedł jednak meldunek kategoryczny: niema ani chwili do stracenia... Wyjazd konieczny... Było to w czasie obiadu, wszyscy porwali się od stołu, na dziedzińcu czekały już wszystkie paradne samochody belwederskie... W tej chwili przychodzi wiadomość, że droga wilanowska jest zagrożona — możliwe więc jest tylko wycofanie się przez ogród i Siekierki.

Prezydent wyszedł przez zajazd i powiedział do szefa eskorty: „Nie będę potrzebował samochodu“.. Rzekł to z takim spokojem, jakby szło o zwyczajną przejażdżkę poobiedną...

W chwilę potem przez ogród belwederski ruszyła w milczeniu drobna garstka ludzi; kilku panów w ciemnych paltach, jeden w wysokich palonych butach i okrywce niedbale narzuconej na ramiona, garstka wojskowych... W pokrowcach niesiono sztandary państwowe, w pewnym oddaleniu postępowała

ochrona wojskowa: kompanja wiernej podchorążówki. Gromadka ta wyszła na ulicę Parkową przez t. zw. bramę zieloną, tę samą, którą pamiętnej nocy listopadowej w 1830 r. wdarł się Wysocki też na czele podchorążych...

Obrona pałacu nie trwała długo, Garstka urzędników i otoczenie Prezydenta korzystając z chwilowego, względnego osłabienia ognia wymknęła się na miasto. W chwilę potem od aleji Ujazdowskich po drodze usłanej zielonością zwalonych i otrzaskanych drzew — runęła zmieszana fala ludzka, cywilni i żołnierze... Podniósł się jeden okrzyk: Na Belweder!...

Było to błędem fatalnym, że obok oddziałów wojskowych dopuszczono również do ataku kombatanów cywilnych. Gromada ta, uzbrojona w najrozmaitsze narzędzia walki, niekiedy śmieszne, jak n. p. łopaty do kopania rowów — rzuciła się z dzikim wrzaskiem na pałac Prezydenta w celach nie zawsze ideowych... Był to już obraz zupełnie rewolucyjny i przypominał znany ze sztychów atak komuny na Tuilleries...

Szczęściem, że na miejscu znalazł się oficer dzielny i znający, jako dawny adjutant Naczelnika Państwa, dobrze stosunki belwederskie — mjr. Aleksander Rutkowski, który posuwając się na czele od-

działów wojskowych odrazu zaprowadził porządek i nie dopuścił do żadnych wykroczeń. A że były możliwe, świadczy fakt schwytania w kaplicy szkoły podchorążych pewnego kombatanta, który odstawiwszy karabin, najspokojniej rozbijał cymborjum...

Sztandar Rzeczypospolitej.

W pałacu witała wpadający tłum — wylękniona garstka służby; zresztą była pustka i nieład. W jednym z salonów parterowych oczekiwali spokojnie swęgo losu min. Chądzyński i szef kanc. Prezydenta wiceminister Lenc; aresztowano ich obu. Wspaniała limuzyna Prezydenta odniosła pierwszych rannych. Na maszcie zawieszono białą flagę.

Jednocześnie zaś wielki sztandar Rzeczypospolitej — oznaka pobytu głowy Państwa — posyty kulami i zdarty z masztu dostał się do rąk gawiedzi, wśród dzikich okrzyków i entuzjazmu niesiono chorągiew tę przez zalane tłumem ulice do Komendy Miasta. Godło zwycięstwa... Oczywiście tej „spontanicznej“ a wręcz antypaństwowej manifestacji nikt z góry nie nakazywał ani nikt jej nie pochwalał...

W tym samym czasie rozgrywały się jednak sceny o wiele przykrzejsze; prowadzono „jeńców“ z niemniejszym trjumpfem jak ongiś bolszewickich...

Żołnierzom nie czyniono przytem krzywdy, gorzej jednak było z cywilnymi.

„...Oddział kilkudziesięciu ochotników cywilnych zostaje wreszcie w okolicach stacji filtrów otoczony, wybity, częściowo wzięty w niewolę. Jeńców tych prowadziła do Komendy Miasta grupa innych uzbrojonych cywilnych i — należy to zaznaczyć — prowadzonych przez ulice szarpano i bito. Pokrwawionych i sponiewieranych znieważali następnie w Komendzie Miasta wojskowi. Fakt ten winien być przez dowództwo wojsk Marszałka zużyty w sensie szczegółowego zbadania dokładnego jeńców, obecnie już będących na wolności, celem ukarania tych, którzy splamili się niehumannością. Jeńców rannych nie opatrywano w ciągu całych 12 godzin. Chłopakowi zatrzymanemu na lotnisku z bronią w ręku, wsadzono w drogę do Komendy Miasta nóż — w brzuch. Do celi jeńców zagłądano z szyderstwami, oświadczając im, że słupki już się szykują. Jedzenie dawano cuchnące wydzielinami.

Student Levitoux był zastrzelony z odległości 2 kroków — przez strzelca.

Ciężko ranny Szawernowski otrzymał, leżąc na polu bitwy kilka godzin, cios kolbą.

Zwykły atrybut każdej wojny domowej — okrucieństwo“...*)

Niestety w zapale rewolucyjnym, wśród podrażnionych tłumów, które ani na chwilę nie spodziewały się teraz powrotu na legalną drogę państwową — nie znalazła się żadna siła, któraby te haniebne wybryki ośmieliła się skarcić.

Belweder padł o 5·10. W godzinę później odezwały się od strony Utraty ożywione strzały — to pułki poznańskie, rozbiwszy kwaterę główną w Ożarowie¹ — podchodziły pod stolicę. Opóźniły się o dzień cały... Leniwa kanonada ciągnęła się noc całą, nad ranem zawarto zawieszenie broni.

Batalja warszawska była skończona...

*) „Warszawa w ogniu“. Bibl. „Rój“ nr. 35—36, str. 59—60. Cytujemy celowo publikację sprzyjającą wybitnie Marszałkowi Piłsudskiemu; całą prawdę wykażą kiedyś badania i akta.

V. Abdykacja.

W Wilanowie.

W tym samym czasie, gdy na ulicach Warszawy świętowano zwycięstwo — garstka ludzi, którzy opuścili Belweder posuwała się wśród zamierającej strzelaniny zapadłymi uliczkami przedmieścia Łazienkowskiego — Stępińską i Chełmską aż na Siekierki, stąd około 8 kilometrów do Wilanowa odbyto wyłożonym marszem.

Był już zmierzch, gdy zawitano do wsi. Przy jednej z pierwszych chat odpoczęli; wyniesiono parę krzeseł, usiedli Prezydent, Witos i St. Grabski. Gdy uprzejma gospodyni zapytała, czy czego nie trzeba — p. Witos poprosił o szklanę wody. W chwili potem całe grono ruszyło w stronę pałacu, gdzie na placu przed kościołem oczekiwał zarządca majątku Branickich, wczas zawiadomiony i prosił w gościnę do pałacu. Gromadzili się już ludzie, wokoło szep-tano, jakaś pani poszłochiwała zcicha.

Zwolna nadciągały coraz liczniejsze oddziały

wojskowe. Wilanów był punktem koncentracyjnym dla wszystkich pozostałych wojsk rządowych.

W lewym skrzydle przepięknego pałacu króla Jana III. przygotowano apartamenty gościnne. Prezydent natychmiast wezwał członków Rządu na naradę, poczem jako parlamentarjusz odjechał do Warszawy ks. prałat Tokarzewski, wioząc pismo odręczne Prezydenta do marszałka Rataja. Prezydent prosił marszałka o przybycie niezwłocznie do Wilanowa „dla przyjęcia mego oświadczenia, które pragnę złożyć w obecności Rządu dla zaprzestania dalszego przelewu krwi“. Jednocześnie prosił Prezydent o spowodowanie zawieszenia broni.

Ks. Tokarzewski w towarzystwie mjra Mazanka przybył do marszałka Rataja po godz. 10-tej wieczorem. Marszałek wszczął natychmiast starania o zawieszenie broni, uwieńczone pomyślnym skutkiem. O godz. 12-tej odjechał do Wilanowa.

Ustąpienie Prezydenta i dymisja Rządu.

Wszystkie te wiadomości późną dopiero nocą dotarły do szerszej wiadomości, głównie do redakcji pism. Przyjęto je ze zdumieniem; ogólna bowiem opinja, nawet najbardziej wstrzeźliwa oczekiwała zupełnie innego rozwoju wydarzeń. Jedni, przekonani

o wielkiej sile odsieczy poznańskiej — sądzili, że Prezydent i Rząd przedrą się do Ożarowa i będą starali się wejść z powrotem do Warszawy; inni, że Prezydent wraz z otoczeniem wyjedzie natychmiast do jednego z większych miast Polski, najpewniej do Poznania, tam ogłosi Marszałka Piłsudskiego buntownikiem i będzie praw swoich dochodzić zbrojnie, choćby się zawiodło na dłuższą wojnę domową.

Ta ostatnia wersja była najsilniejsza; stąd też natarczywe zapytania korpusu dyplomatycznego w ciągu nocy z 14 na 15-go, czy należy się przygotować do wyjazdu do Poznania...

Na szczęście sprawy poszły innym torem i nie doprowadziły do dalszego rozlewu krwi i zaburzeń, które w skutkach swych mogły być nieobliczalne dla całości i powagi Państwa.

Nad ranem marszałek Rataj powrócił z Wilanowa, odbył szereg konferencji z przedstawicielami stronnictw sejmowych (Dębski, Bartel, Niedziałkowski) a już o godz. 6'15 przyjął przedstawicieli prasy, omówił przebieg swej misji oraz zakomunikował treść historycznych dokumentów, spisanych w Wilanowie

W protokole z ostatniej Rady Ministrów, odbytej zaraz po przybyciu do Wilanowa — czytamy:

„Pan Prezydent Rzplitej zażądał od Rady Ministrów odpowiedzi na pytanie, czy w związku z sy-

tuacją, wytworzoną zajęciem stolicy przez wojska Piłsudskiego i grożącą w dalszym ciągu przewlekłą wojną domową, należy prowadzić dalej walkę, czy jej zaniechać.

Rada Ministrów, jednomyślnie uznając, że przedłużanie walki w tych warunkach doprowadzi do wojny między poszczególnymi dzielnicami Rzeczypospolitej, że koniecznem jest użycie całości wojska dla obrony granic Państwa wojną taką zagrożonych, że wreszcie niezbędnem jest w interesie Państwa usunięcie rozdziału, dzielącego naród oraz wojsko, na dwa wrogie obozy, postanowiła, że wobec tego przerwanie dalszej walki jest nakazem chwili.

W przekonaniu, że nowemu Rządowi łatwiej uda się przeprowadzić to zadanie, Rada Ministrów uchwaliła zgłosić swą dymisję.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej jednocześnie zakomunikował swą decyzję złożenia urzędu Prezydenta“.

Dziejowej doniosłości akt ustąpienia Prezydenta, okazany w oryginale przez marszałka Rataja brzmiał:
„Do Pana Marszałka Sejmu Macieja Rataja.

Wobec wytworzonej sytuacji uniemożliwiającej mi sprawowanie urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej w zgodzie ze złożoną przezemnie przysięgą zrzekam się tego urzędu i zgodnie z art. 40 Konstytucji prze-

kazuję Panu Marszałkowi Sejmu uprawnienia Prezydenta Rzeczypospolitej.

Jednocześnie załączam prośbę o dymisję dotychczasowego rządu.

Wilanów, 14 maja 1926 r.

(—) S. Wojciechowski“.

Prośba premiera Witosa o dymisję zawierała tylko parę lakonicznych słów. Wszystkie dokumenty pisane były ręcznie. Wygnany rząd nie miał do rozporządzenia nawet maszyny do pisania...

Ostatnie chwile.

Wiadomości te rozpowszechnione około południa w całym mieście wywołały zrozumiałą sensację. Co prawda przyjęto je zrazu z pewnym niedowierzaniem; „więc o to tylko chodziło?“ — pytali ludzie poniekąd rozczarowani.

Dla wszystkich a przede wszystkim dla gorętszych zwolenników Marszałka było rzeczą niemal pewną, że ogłosi on dyktaturę. Nadzieje te gruntował rozrzucony masowo komunikat Sztabu Generalnego, podpisany przez gen. Burghardt-Bukackiego, głoszący, że „Prezydent Rzeczypospolitej zrzekł się władzy na rzecz Marszałka Piłsudskiego i uznał go za jedynie godnego i powołanego do rządzenia Polską“... Roz-

mijało się to zupełnie z prawdą, może nie ze złej woli i chęci zamętu, lecz z powodu niezrozumienia ubiegłych wydarzeń; zresztą Konstytucja tej formy przelania władzy nie przewiduje...

Tymczasem internowani w Wilanowie, b. rząd i generalicja, nie byli jeszcze pewni dalszych swych losów. Mimo powrotu do stanu legalnego i zapewnień marszałka Rataja, który objął zwierzchną władzę w Państwie — los oddziałów wojskowych tu zgromadzonych i poszczególnych osób nie był zdecydowany; istotnie też niektórzy generałowie nie prędko mieli znaleźć się na wolności...

Jeden Prezydent Wojciechowski tego samego dnia wyjechał z Wilanowa na przepustkę wystawioną na pospolite nazwisko — Stanisława Wojciechowskiego...

Rozegrało się przytem parę momentów charakterystycznych. Gdy w parę godzin po abdykacji Prezydent przechadzał się po pięknym parku wilanowskim, zauważył to z daleka b. mimister wojny gen. Malczewski i przybiegł do Prezydenta z zapytaniem czy może czem służyć. Na to odparł Prezydent: „Daj spokój generale, nie jestem już osobą oficjalną!“

Wzruszającą też była scena, gdy Prezydent zwalniał towarzyszących mu wojskowych od przysięgi, której wiernie dochowali.

Kiedy o godzinie 9-tej rano miał wsiadać do automobilu, który miał go zawieść do Spały, zebrała się przed pałacem cała świta generalska wraz z członkami b. rządu. Pośród milczenia ogólnego zawołał generał Kędzierski, dowódca grupy wojsk poznańskich:

„Jestem dumny, iż mogłem walczyć pod rozkazami Prezydenta Rzeczypospolitej“.

Prezydent przerwał ze łzami w oczach:

„Nie mów tak generale“, a potem machnął ręką i wsiadł do auta. Generał Kędzierski zdążył jeszcze wykrzyknąć: „Niech żyje Polska!“...

Przesilenie.

Warszawa odzyskiwała tymczasem szybko swe niefrasośliwe i wiecznie roześmiane oblicze. Nieprzejrzane tłumy wylęgły na ulice ale już nie by „ogłądać wojnę“, tylko, by zobaczyć jej ślady i zniszczenie. W Aleje Ujazdowskie sunął długi sznur powozów i aut; widziało się znów piękne i kosztowne toalety, wykwinne ubrania panów... Ani śladu żałoby czy smutku ani, na wet entuzjazmu czy radości ze zwycięstwa nic tylko ciekawość, mało uzasadniony humor i popolity „szyk“. Ta część stolicy, próżniacza i używająca, którą rewolucja powinna była potrząsnąć do głębi — pozostała niezmieniona.

Kłózbę myślał o wielkiej tragedji polskiej, do-

piero co przeżytej, któżby współczuł z rozpaczą i boleścią rodzin, które straciły swych najbliższych?...

Rozkwitły właśnie bzy i miasto było niemi formalnie zasypane. Z lokali tanecznych dochodziły skoczne tony muzyki... Istotnie też wieczorem tańczono do upadłego; nie było jeszcze nakazu żałoby...

Sytuacja polityczna powracała też na zdawna wyżłobione i pospolite tory. Wiadomem już było, że Marszałek Piłsudski wbrew nadziejom swych najgorętszych zwolenników nie ogłosi dyktaturę, lecz pragnie powrócić na drogę legalną, a więc ukonstytuowania rządu i jaknajwyklesze Zgromadzenie Narodowe, celem wyboru nowego Prezydenta.

Kuluary sejmowe odżyły; pochowani gdzieś w najgłębszych zakątkach stolicy posłowie ściągnęli z powrotem. Zaczęły się obrady; rzucano coraz to nowe nazwiska, rozdzielano teki... Zaczynały się zwyczajne kombinacje przesileniowe.

Wszystko to było czemś nieoczekiwanem i dziwnie smutnem wobec, w coraz wyższe liczby idacej, listy zabitych, wobec okropnego zniszczenia miasta i milionowych strat...

U wejścia do Sejmu spotykam jednego z wybitnych polityków obozu lewicowego:

„Cóż więc, panie prezesie?“

„Ano nic — mamy przesilenie“.

„Mieliśmy przecież przesilenie i przed zamachem — czyż do tego tylko streszczają się wszystkie jego zyski, cały przewrót?”

„Rząd będzie się składał z ludzi uczciwych i energicznych; gwarantuje to nam osoba Marszałka“.

„Ale czyż nie można było tego uzyskać i bez walki?”

Milczenie.

W parę dni potem Marszałek Piłsudski powiedział:

„Wszystko to było jak błyskawica...”

Ale jednocześnie, jak piorun, który do podstaw wstrząsnął Rzeczpospolitą Polską i obudził w niej — sumienie.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM, KEK 317770



000-317770-00-0